

DZIŚ i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Cena 60 gr.

Rok VIII

Warszawa, 22 czerwca 1952 r.

Nr 25 (343)

Rolesław PIASECKI

Patriotyzm jest na lewicy

HISTORYCZNA POZYCJA
PRAWICOWEJ PARTII
BURŻUAZYJNEJ

W SPOŁECZEŃSTWACH europejskich mieszczaństwo rozpoczęło i poprowadziło zwycięską walkę z feudalizmem. W następnym okresie mieszczaństwo, wchłonawszy bezpośrednio albo pośrednio dużą część szlachty, wypisało na swym sztandarze hasło suwerenności narodowej. Żołnierz Wielkiej Rewolucji Francuskiej roznosił po stolicach Europy pobudkę, która mobilizowała narody do walki o samookreślenie i samostanowienie. Kuźnia intelektualna treści tej pobudki i jej artystyczny wyraz należą do burżuazji francuskiej, a następnie do burżuazji europejskiej.

Burżuazja była jednak nie tylko heroldem świadomości narodowej, ale stanowiła również od początku klasę pionierów i reprezentantów kapitalizmu. Kapitalizm właściwą mu mechaniką wyzysku prowokował powstanie w ideologii mieszczańskiej pojęcia określonego wstydliwie mianem kwestii społecznej. Burżuazja wszystkich krajów była przeciwna dynamice problematyki związanej z „kwestią społeczną”. Dlatego jej ideolodzy przeciwstawili kwestię narodową kwestii społecznej. Odtąd prawica miała mieć monopol na reprezentowanie służby interesowi narodu, natomiast ruchy lewicowe miały rzekomo w rewolucji społecznej, którą organizowały, zgubić nie tylko świat burżuazji, ale całą treść sprawy narodowej.

Mieszczaństwo, mobilizując społeczeństwo do walki o suwerenność narodową, było czynnikiem niewątpliwego postępu. To samo mieszczaństwo, przeciwstawiając interes narodu w imię własnych klasowych interesów sprawie postępu społecznego, sprawie socjalizmu, stało się siłą szkodliwą i wsteczną. Nie od razu jednak było to jasne dla wszystkich.

W Polsce legenda i walka powstań 1831 i 1863, legenda i walka organizacji niepodległościowych przed i w czasie pierwszej wojny światowej została na długi czas zdyskontowana przez prawicę. Dyskonto to ułatwił fakt licznego udziału, udziału wynikającego niewątpliwie ze szlacheckich pobudek, przedstawicieli burżuazji w ośrodkach kierowniczych walki zbrojnej w okresie niewoli. Charakterystycznym też jest zjawiskiem, że zarówno wielcy mistrzowie romantyzmu jak i wielcy autorzy dzieł politycznych, mimo niewątpliwych elementów postępu społecznego w ich twórczości, zostali niemalże wszyscy ustawieni w opinii jako pisarze prawicy. Taki obrót rzeczy stał się możliwy przez sojusz inteligencji burżuazyjnej z zacofaną ówczesną wsią. Sojusz, który widział przyszłość narodu tylko w konserwatywnej tradycji, a nie w postępie, sojusz, który słowu „Polska” nadał treść pełną irracjonalnej egzaltacji bez konsekwencji, objawiającej się w polępsznianiu poziomu i warunków życia Polaków. Okres dwudziestolecia doprowadził problem do absurdu. W czasie tym wzajemnie zwalczające się ugru-

powania, jak Sanacja, Narodowa Demokracja, ONR-y, prawicowe kierownictwo PPS i Stronnictwa Ludowego, trwały w jednolitym agresywnym sojuszu przeciw siłom zgrupowanym wokół lewicy komunistycznej, rzekomo anarodowej, rzekomo kosmopolitycznej. Pozornie najbardziej przeciwnym ośrodkom ideologicznym stawały się zgodnie przed młodym pokoleniem dylemat: Polska albo rewolucja komunistyczna na całym świecie. Gdyby zadać pytanie, co prowadziło szeregi młodych żołnierzy i oficerów AK pod bezideowe i szkodliwe dla narodu dowództwo rządu londyńskiego, co wydobywało z nich wspaniałe tony ofiarności i bohaterstwa, to odpowiedź może być tylko jedna: działała tu przede wszystkim długotrwała wpajana sugestja burżuazji, że pozycja patriotyczna musi być antylewicowa, to znaczy antykomunistyczna.

Procesy ideowo-polityczne dwudziestolecia i ewolucja prawicowej konspiracji w czasie najazdu hitlerowskiego wykazuje, jak potworne następstwa sprowadza oddzielenie sprawy narodowej od sprawy społecznej. Służba potrzebom narodu staje się celem wypranym z treści; pod pojęcie interesu narodu podkłada się pojęcie interesu burżuazji i związanej z nią administracji państwowej. Dla ukrycia tego podstawienia zdrową ambicję narodową wypacza się w megalomanię i w szowinizm nacjonalistyczny. Zjawia się faszyzm, który chce oblaśkawić pseudoradykalizmem rewolucyjne siły mas narodowych, aby następnie wykołaje je w służbie mitu szowinizmu nacjonalistycznego, pozbawionego rzeczywistej treści społecznej. Zjawia się prostactwo i barbarzyństwo w postępowaniu partii prawicowych, ponieważ mit megalomanii narodowej uprawnia do wszystkiego i rozgrzesza z wszystkiego.

Od połowy XIX-go wieku mieszczaństwo i partie prawicowe szantażowały hasłami patriotyzmu własne społeczeństwa, aby nie dopuścić do rozwoju i zahamować dynamikę sił lewicy. Szantaż ten wyrządził ogromne szkody narodom a często wykołajał całe pokolenia.

SZALEŃSTWO PRAWICY

INTERES klasowy mieszczaństwa sprawił, że przeciwstawiło się ono siłom postępu społecznego i że siły te konsekwentnie zwalczało i zwalka. Obecnie jednak obserwujemy zjawisko na pierwszy rzut oka nie do wiary. Tak jak kiedyś burżuazja przeciwstawiała się sprawie społecznej, tak obecnie wyrzeka się sprawy narodowej.

Cóż innego bowiem oznacza pracowity wysiłek burżuazyjnych rządów Francji powojennej, odbudowujących rękami hitlerowskich generałów militarnym niemieckim? Cóż oznacza zezwolenie amerykańskim wojskom w Europie na budowę baz i koszar na terenie Francji? Sprawa tych baz jest zastanawiająco charakterystyczna. Z lotnisk francuskich w wypadku, w którym by się udało polityce impe-

rialistycznej sprowokować wojnę, mają startować samoloty dla bombardowania terytoriów krajów socjalizmu. Ponieważ jednak sztab amerykański przewiduje konieczność opuszczenia baz na terytorium Francji europejskiej, więc zażądał z kolei i uzyskał zgodę na budowę lotnisk dla wojsk amerykańskich w Algierze. Z tych baz w myśl przewidywań sztabu amerykańskiego, baz uzyskanych za zgodą rządu francuskiego, mają startować samoloty, które na wypadek wojny będą bombardować obszar Francji. Jakże ma znaczenie fakt, że burżuazja niemiecka, doprowadzwszy dwukrotnie naród do krwawej katastrofy i do upodlenia moralnego, chce go wyniszczyć ostatecznie przez zaciężny udział w projektowanej trzeciej wojnie? Co doprowadziło oficjalnie „archychrześcijańskie” prawicowe rządy Włoch i Hiszpanii do prowokacyjnego nadużywania religii dla uzasadnienia zahamowania reform społecznych, dla zaniechania walki z nędzą w tych krajach na korzyść przygotowania się do udziału w projektowanej wojnie? Masy narodowe ludzi wierzących we Włoszech i w Hiszpanii opłacają ciężkim zamętem sumienia antynarodową politykę swych rządów. Jak sobie wreszcie wytłumaczyć wzburzający nie tylko ubolewanie, ale i obrzydzenie nonsens jednolitej przeciw w prawicowości myśli emigrantów polskich, którą można streścić w następujących punktach: należy przestać traktować polskość jako nadrzędną wytyczną, należy zrezygnować z ambicji suwerenności państwowej, należy porozumieć się z emigrantami środkowej Europy i możliwie pośpiesznie ułożyć się z burżuazyjnym, neo-hitlerowskim i militarystycznym rządem w Bonn. Katastrofa wojny, opóźnienie postępu społeczno-gospodarczego to cena, którą naród polski musiałby zapłacić za próby realizacji tego dekadentckiego programu polityków emigracyjnych. W obliczu tych konsekwencji politycy ci cynicznie umywiają ręce.

Dlaczego burżuazja zachodnio-europejska i emigracyjna wyrzeka się sprawy narodowej? Dlatego, że stanowiący przed dylematem: interes narodowy czy interes klasowy wybrała interes klasowy. Tylko bowiem interes klasowy uzasadnia celowość przywołania na pomoc interwencyjnych wojsk amerykańskich. Czego międzynarodowa burżuazja żąda od kapitalistycznych polityków amerykańskich? Żąda pomocy w policyjnym i wojskowym zwalczaniu społecznych ruchów lewicowych, żąda środków materialnych na wojenne budżety. Wzajemnie za to prawica, zdradzając swe narody, ofiarowuje rezygnację z maksymalnej dostępności dla danego państwa samodzielności gospodarczej, ofiarowuje chęć organizowania wojsk zaciężnych, mających walczyć przeciw krajom socjalizmu, ofiarowuje gotowość uczynienia swych krajów terenem wyniszczających działań wojennych.

Wielkość obłędu prawicy ujawnia się, gdy zadamy pytanie, w imię czego burżuazja chce istnieć i rządzić. W imię postępu społecznego? Na to

pytanie prawica dała niedwuznacznie negatywną i wrogą odpowiedź przed przeszło stu laty. W imię interesu narodowego? Zakończenie drugiej wojny światowej ujawniło niesłychany cynizm i lekceważenie sprawy narodu przez prawicę i pokazało w ostatnich latach zupełnie jawne wyparcie się przez nią tej sprawy. Na tym polega szaleństwo prawicy, że chce ona rzucić po prostu w imię czystej reakcyjności, w imię swego klasowego egoistycznego interesu. Nie ma chyba powodu udowodniać, że przy obecnym poziomie rozbudzenia potrzeb duchowych i materialnych mas narodowych program taki nie ma nic wspólnego z realizmem, jest natomiast pełnym wyrazem degeneracji.

Bardziej aktywni reprezentanci ideologii burżuazyjnej usiłują rzucić dwie zasłony dymne na pustkę swojej pozycji ideologicznej. Zasłony te, to Paneuropa i obrona kultury zachodniej. Koncepcja Paneuropu nigdy nie wyszła poza obraz mętnie skonstruowanej międzynarodówki burżuazyjnej. Europa ma być sielankową przestrzenią, po której się podróżuje bez paszportów i wiz i w której nie ma różnicy między produkcyjnością i handluje. Koncepcja Paneuropu jest po prostu historycznym refleksem szczęśliwych czasów międzynarodowej burżuazji europejskiej pod koniec XIX-go wieku, w którym to czasie istotnie jej reprezentanci podróżowali swobodnie i zarabiali dużo. Jak się natomiast Paneuropa ma zachować w obliczu rewolucji społecznej i ogarnięciu świadomością narodową mas europejskich, na to pytanie burżuazja nie próbuje nawet odpowiedzieć. Koncepcja Paneuropu, nazywanej także często w propagandzie burżuazyjnej wspólnotą europejską, jest próbą wykołajenia słusznych tęsknot narodów do pokojowego i swobodnego współżycia, próbą wykołajenia przez wysiłki związane z tymi upragnionymi tęsknotami z egoistycznym klasowym interesem prawicy.

Obrona kultury zachodniej przed obcym państwami socjalistycznymi jest inną próbą mobilizacji sił społecznych do obrony interesów prawicy. Przede wszystkim trzeba wyjaśnić, kto kultury europejskiej może bronić. Na pewno nie mogą bronić kultury europejskiej ci, którzy odczuwają do niej pogardę i podchodzą do niej z kompleksem prymitywnej wyższości, to znaczy Amerykanie. Obrońcami kultury europejskiej mogą być tylko ludzie głodni jej prawdziwych skarbów i podchodzący do jej zdobycy z najwyższym szacunkiem. Obrońcami kultury europejskiej mogą być tylko postępowe masy ludzi pracy wszystkich narodów, którym monopol pieniądza, posiadany przez burżuazję, zamykał drogę do wiedzy i sztuki. Mimowolnie złą przysługę oddał sprawie prawicy, kto nastawił ją na wysunięcie

W NUMERZE m. in.:

E. M. SERWANSKI — Z wojennych dziejów polskiego robotnika
S. LICHANSKI — Debiut Łepkowskiego
J. A. GORSKI — Reportaż z Motławy
Z. CZAJKOWSKI — U progu nowej marynistyki
J. POGORSKI — Co się dzieje w Burmie?
M. A. WASILEWSKI — Snoby teatralne

hasła bez pokrycia, jakim jest dla niej obrona kultury europejskiej.

PATRIOTYZM JEST NA LEWICY

RZĄDY prawicowe prowadzą na zachodzie Europy praktyczną i teoretyczną walkę z pojęciem niepodległości narodowej. W Polsce natomiast toczy się walka o pogłębienie i umocnienie treści pojęcia niepodległości, o pogłębienie i umocnienie patriotyzmu polskiego.

Potęga umiłowania własnego narodu przez Polaków zbyt często szukała swego wyrazu w pieśni i piosenkach, w bohaterstwie ale oderwanym od rozumowania aktach ofiary życia. Zły czar takich powiedzeń, jak „Polska natchnieniem narodów”, „misja dziejowa narodu polskiego”, zastępował bardzo często frazesem rzetelne budowanie przyszłości narodu. Poczynając od końca drugiej wojny światowej naród nasz umacnia swoją przyszłość, budując na nie spotykaną we własnych dziejach skalę potencjału gospodarczego. Bówież rzeczywiste niepodległość może być tylko ten naród, który posiada własną i wszechstronnie rozwiniętą produkcję. Prawdę tę nie tylko rozumiemy, ale praktycznie realizują wszyscy Polacy. Przemiana naszego kraju z rolniczego w przemysłowo-rolniczy opiera o bazę rzeczywistości polskie ambicje narodowe. Stosunek przeciętnego Polaka do własnego kraju był przede wszystkim wyrażony w czynnikach natury emocjonalnej i podświadomej. Zaczętkowany w latach powojennych, a w niektórych dziedzinach poważnie już zaawansowany dzięki nowemu ustrojowi społeczno-gospodarczemu proces masowego upowszechniania wielkich dzieł naszej tradycji kulturalnej jest punktem zwrotnym. Jeśli przy tym weźmiemy pod uwagę rzeczywiste masowe udostępnienie wiedzy, to zbliżamy się do momentu, w którym słowo Polska dla każdego obywatela naszego państwa będzie miało bogatą treść intelektualną. Zwalczona zostanie wtedy ostatecznie zarówno nacjonalistyczna megalomania polska, jak i polski kompleks niższości wobec zagranicy. Przedwojenny szowinizm nacjonalistyczny polski znajdował swe samookreślenie we wrogoci do wszystkich sąsiadów. Według tego rozumowania Wielka Rewolucja Październikowa nie stanowiła krecu historycznych antagonizmów polsko-rosyjskich. Według tego rozumowania, powinniśmy nienawidzić wszystkich Niemców z drugiej strony zachodniej granicy. Patriotyzm polski znajduje swój przejaw międzynarodowy w sojuszu z wielkim krajem narodów radzieckich i w postawie pełnej życzliwości wobec innych sąsiadów, wobec procesów odrzeczonych, dokonywających się poza linią Odry i Nysy w NRD.

Zamiast megalomanii i mitomanii narodowej oparcie niepodległości o potęgę potencjału gospodarczego.

(Dokończenie na str. 2)

Dorozmawiamy...

Pani Zofio,

Ostatni list Pani nie należał do najłatwiejszych. Poruszyła w nim Pani sprawy trudne, a przecież bardzo istotne. Przy tym problem został postawiony jasno, wyraźnie, uczciwie.

Pisze Pani:

„Życie codzienne stawia nas wobec szeregu obowiązków i wymagań, jesteśmy członkami rodziny, obywatelami państwa, należymy do Kościoła, pełniemy funkcje zawodowe, bierzemy udział w życiu organizacyjnym i społecznym. Obowiązki te nieraz krzyżują się tak, że wypełniając jedne z nich przeciwstawiamy się niejako innym. Powstaje szereg mniejszych i większych konfliktów, które łagodzić można jedynie na drodze kompromisów”.

Pyta więc Pani:

„Jak się ma w takiej sytuacji zachować jednostka, której życie szarpane jest różnorodnością sprzecznych wymagań, a która nie chce iść drogą kompromisów?”

Przede wszystkim, Pani Zofio, musimy ustalić, co to znaczy „iść drogą kompromisów”.

Jeżeli we współżyciu rodzinnym jednostka reguluje wymagania osobiste w stosunku do wymagań życia rodzinnego, czy wówczas idzie o kompromis, czy nie idzie?

Jeżeli na mocy danej umowy czy układu ustalamy swój stosunek do określonej instytucji, organizacji czy państwa, jeżeli w zamian za takie czy inne świadczenia otrzymujemy z kolei takie czy inne prerogatywy — czy wówczas nie dokonujemy ograniczenia własnej swobody, potrzeb, czy nie rezygnujemy z czegoś w zamian za coś?

Odpowiedź Pani zapewne, że to nie o to chodzi, że kompromis oznacza coś zupełnie innego. A zatem regulowanie wzajemnych stosunków między jednostką i społeczeństwem, ograniczanie osobistych wymagań i subiektywnych potrzeb na rzecz interesu ogólnego nie było by jeszcze kompromisem?

Mówi Pani, że tu chodzi o konflikty obowiązków a nie o potrzeby osobiste jednostki. A czymże są obowiązki jak nie zaspokajaniem koniecznych potrzeb? Oczywiście fakt konieczności wymaga jakiegoś obiektywnego sprawdzianu. Zapewniająca, na przykład, utrzymanie sobie i rodzinie, zaspokajamy niewątpliwie jakieś potrzeby. Wypełniając pracę zawodową — zaspokajamy zarówno potrzeby osobiste jak i potrzeby danej społeczności, dla której pracujemy. Nie wydaje się więc, aby można było oddzielić pojęcie obowiązków od pojęcia potrzeb. Jeżeli mówimy zatem, że życie społeczne wymaga regulowania potrzeb w sensie podporządkowania potrzeb bardziej osobistych bardziej ogólnym, wówczas odnosi się to również do obowiązków, wśród których istnieje musi jakaś hierarchia w zależności od tego, komu i czemu służą i jakie wartości realizują.

Katolicyzm uczy nas właśnie, jak ujmować każdą rzecz i sprawę wspólnie z całością innych rzeczy i spraw i każe dążyć nam do pełni i jednolitości wewnętrznej. Nie osiąga się tego jednak na pewno ani przez niedostrzeżenie w życiu różnic i rozbieżności, ani też przez ich lekceważenie. Nie ma łatwego wyboru i łatwej decyzji, nie ma w ogóle łatwizny w życiu katolika. Obciąża go ogrom odpowiedzialności.

Powie Pani, że wobec tego katolik może się w ogóle okazać niezdolny do działania. Przygnieciony bowiem ciężarem odpowiedzialności będzie raczej dreptał w miejscu, niż decyduje się na cokolwiek w obawie niewłaściwego wyboru. Spotykamy przecież wielu takich „drepczących” w miejscu katolików. A jednak, Pani Zofio, wiemy o tym dobrze, że katolicyzm nie jest wyrazem bierności i bezwładu, nie jest ucieczką od rzeczywistości, nie jest argumentem dla tych, którzy by na nim chcieli bazować ze swoim pesymizmem, tragizmem, ze swoją niemocą duchową.

Jakże często zdarza się, że pojmując to lepiej jakis prosty człowiek z zapadłej prowincji niż wyrafinowany intelektualista z wielkomiejskiego ośrodka. Zdaje się tu bowiem bardziej decydować zwyczajna uczciwość wobec Boga, społeczeństwa i siebie samego, niż najwnikliwsze studia traktatów etycznych i intelektualna analiza.

Stosunki między ludźmi, Pani Zofio, długo jeszcze będą układać się w napięciu walki i przeciwieństw, ale równoległe do nich przeżyjemy także wspólnotę i podobieństwo. W stosunku człowieka do człowieka, jednostki do zbiorowości istnieje zarówno to, co ją dzieli, jak i to, co ją łączy. Zadaniem i celem naszym powinno być przede wszystkim szukanie więzi. To właśnie realizuje się w codziennym życiu, w codziennym działaniu i przewyciężaniu trudności. Chodzi o to, co nazywamy stylem życia człowieka. Nie rodzi się on na pewno z ustąpiłości i rezygnacji ale z mądrej pojętej wzajemnej wymiany wartości zarówno w życiu rodzinnym jak i w szerszych społecznie kręgach. Tak rozumiany styl życia nie jest niczym innym jak służbą wartościom, wypracowywaniem harmonii i jedności między różnorodnością życia i jego spraw, szukaniem więzi wspólnej z innymi ludźmi, ze społecznością, w której żyjemy, czy to będzie rodzina, naród, państwo czy Kościół.

I dlatego, Pani Zofio, kiedy mówimy, że nie chcemy iść drogą kompromisów, musimy zastanowić się, czy aby nie oznacza to, że nie chcemy tylko zdecydować się na ograniczenie potrzeb własnych lub swoich najbliższych w stosunku do wymagań społecznych. Czy pod tą postawą bezkompromisowości nie przemycą się czasem niechęć rezygnacji z przerostów subiektywizmu albo najzwyczajniejsze w świecie lenistwo i egoizm?

Dla katolika żadne ustępstwo jest nie do przyjęcia wówczas, kiedy oznacza rezygnację w dziedzinie religii i światopoglądu. Na tego rodzaju kompromisy w żadnej sytuacji i w żadnej chwili naszego życia nie wolno nam się decydować, natomiast dążenie do harmonizacji potrzeb osobistych z potrzebami społecznymi, która pozwalałaby jednostce na zajmowanie wobec każdego człowieka i wobec każdej sprawy postawy prawdziwie wartościowej i słusznej jest nie tylko społecznie przydatne ale istotnie wartościowe również w perspektywie celu pozadoczesnego człowieka.

W. Z.

Patriotyzm jest na lewicy

Zamiast mieszczańskiej egzaltacji bez konsekwencji w realizowaniu wielkości spraw Polski, tworzenie społeczno-gospodarczych warunków, umożliwiających każdemu Polakowi zrozumienie, czym jest Polska i budowanie perspektywy jej coraz lepszej przyszłości. Zamiast beznadziejnej ideologicznie i politycznie nienawiści w stosunku do sąsiadów, współpraca, szanująca zarówno interes własnego narodu, jak i uprawnione potrzeby innych narodów. Jest faktem, któremu nie może zaprzeczyć, że wszystkie te przemiany zaszły w okresie, w którym ośrodkiem rządzenia jest rzeczywiście lewicowa partia, partia klasy robotniczej. Dlatego, w oparciu o nasze najbardziej bezpośrednie doświadczenia polskie, mówimy: patriotyzm jest na lewicy.

W całej Europie zachodniej jesteśmy świadkami konsekwentnej, ofiarnej walki o socjalistyczną przebudowę społeczno-gospodarczą. Jednocześnie widzimy, jak siły postępu społeczne, broniąc pokoju, chcą zoszczędzić narodem katastrofy wojny, prowokowanej nie dla obrony interesów tych narodów, ale dla interesów światowego kapitalizmu reprezentowanego przez polityków amerykańskich. Jednocześnie widzimy, kto protestuje przeciwko upokarzaniu wielkiej tradycji kulturalnej narodu francuskiego, upokarzaniu przez współdziałanie z neo-hitleryzmem, przez zaprzaczenie tradycji wolnościowych tego wielkiego narodu. Jednocześnie widzimy, kto protestuje w Niemczech przeciwko poglębieniu deprawacji narodu niemieckiego przez dalszą zachętę do ludobójstwa, kto protestuje we Włoszech, Hiszpanii przeciwko nadużywaniu autorytetu religii dla celów nie mających nic wspólnego z moralnością, tych społeczeństw. Siłą, która stanowi serce walki o godność narodową tych wszystkich narodów, są partie klasy robotniczej. Dlatego, będąc świadkami dramatycznych konfliktów wewnątrz narodów zachodnio-europejskich mówimy: patriotyzm jest na lewicy.

Zwycięska kampania wyzwolenca Mao Tse-tunga w Chinach, walka narodu koreańskiego, długotrwałe walki w Viet Namie, walki w Indonezji, polityka Pandit Nehru, przyplawy i odpływy oporu świata arabskiego przeciwko eksploatacji kapita-

(Dokończenie ze str. 1)

listycznej, walka Murzynów z kolonializmem — wszystkie te doniosłe fakty o znaczeniu światowym wyjaśniają zagadnienie, z którym obozem, prawicy czy lewicy, wiąże swą przyszłość narody nie należące do rasy białej. Sprawa ta jest tak oczywista, że nikomu niepotrzebne jest jej uzasadnianie. Walka narodów kolorowych o samostanowienie, o wyzwolenie spod eksploatacji kolonialnej, jest związana z obozem socjalizmu. Dlatego, doceniając wagę moralną walki wyzwolenczej narodów kolorowych i znając wybór sojusznika, którego dokonały, powtarzamy: patriotyzm jest na lewicy.

WAGA SŁUSZNOŚCI SPRAWY

DROGA narodu do socjalizmu nie ma w sobie nic z nastroju sentymentalnej sielanki. Brać udział w budowie socjalizmu, to znaczy stale zwiększać wysiłek produkcyjny. Brać udział w budowie socjalizmu, to znaczy prowadzić w sobie i w swoim otoczeniu jakże trudną walkę z nawykami myślenia i postępowania, zakorzenionymi przez długotrwały okres kapitalizmu a nawet feudalizmu. Brać udział w budowie socjalizmu, to znaczy walczyć z ustawicznymi usiłowaniami propagandy i wywiadów kapitalistycznych zakłócenia pokoju wewnętrznego. Brać udział w budowie socjalizmu, to znaczy czynnie bronić pokoju między narodami zagrożonego polityką rządów imperialistycznych i kapitalistycznych.

Nie dosyć na tym. Dla ludzi wierzących, dla katolików, którzy budują socjalizm, aktywnie uczestnicząc w Narodowym Frontie Walki o Pokój i Plan Sześcioletni, udział w budowie socjalizmu oznacza także: aktywność w trosce o to, aby pluralistyczna zasada światopoglądowa Frontu Narodowego wyrażała się ze strony katolików w wiernym doktrynie religii a twórczym społecznie wkładzie kulturalnym we współczesność.

W trudnościach, w wysiłku codziennej walki, nie należy zapominać jednak ani na chwilę o przesądzającej decyzji wadze słuszności sprawy.

Bolesław Piasiecki

NOTATNIK POLITYCZNY

Goering redivivus

RZAD p. Pinay, b. radcy Petain, postanowił oprzeć się w wytaczaniu oskarżeń przeciwko Jakubowi Duclos na metodach, których skuteczność wypróbowali już nazisci. Role ze słynnego procesu o podpalenie Reichstagu tylko o tyle się zmieniły, że rzecz się dzieje we Francji a nie w Niemczech, zamiast z szefem pruskiej rady ministrów — Goeringiem mamy do czynienia z premierem Pinay, oskarżonym nie jest Dymitrow — rewolucjonista bułgarski lecz Duclos — rewolucjonista francuski, a funkcje hitlerowskiego policjanta Steinbacha przejął fancuski sędzia śledczy Jaquinot.

Tę najzupełniej nieprzypadkową zbliżność między sferą istotnego podpalacza Reichstagu Goeringa, który działał rękoma holenderskiego prowokatora Van der Luebbego a aktualną prowokacją paryską zainscenizowaną przez p. Pinay wykazał Duclos w liście skierowanym do sędziego śledczego. Jest coś nie zwykle impetuującego w całym dotychczasowym zachowaniu się Jakuba Duclos, który podobnie jak Belojannis lub André Stil, nawet z faktu własnego uwięzienia czyni instrument walki z siłami odradzającego się faszyzmu. Tylko ludzie najgłębiej przekonani o prawdziwości swojej postawy są zdolni rzucać tak zuchwale wyzwania władzy dysponującej wobec nich

wszelkimi środkami fizycznej przemocy.

Przekonanie Jakuba Duclos o słuszności zajmowanego przez niego stanowiska wspiera nadmiar dumna świadomość, że nie jest osamotniony, że o niebezpieczeństwie zagłady niesionej przez amerykański imperializm to samo co on myślą miliony uczciwych ludzi, którzy wypowiedzieli wojnę wojnie. — Przed paru dniami gaulistowski dziennik „Ce Matin” i „socjalistyczny” dziennik „Franc Tireur” podały wiadomość o rzekłym znalezieniu w teczce Duclosa planu Paryża, który jakoby miał posłużyć generalnemu sekretarzowi KFF do przygotowania manifestacji w dniu 28 maja. Podobnie nazistowski policjant Steinbach utrzymywał w r. 1933, że pod czas rewizji u Dymitrowa znalazł plan Berlina, na którym Reichstag był podkreślony czerwonym ołówkiem. Wówczas prowokacja była sztyła tak grubym nićmi, że nawet sąd hitlerowski uniewinnił Dymitrowa. Warto jednak przypomnieć, że gdy aresztowano bułgarskiego rewolucjonistę, zażądał on, ażeby ponumerowano i opleczętowano skonfiskowane u niego dokumenty. Policja nie uczyniła jednak za dość temu żądaniu, mimo że doma

Kto chce służyć postępowi społecznemu ludzkości, kto chce służyć prawdziwemu interesowi własnego narodu, kto chce jako katolik przyczynić się w sensie doczesnym do budowania perspektywy dla swej religii i swego światopoglądu, tego miejsce jest w obozie lewicy, w obozie socjalizmu.

Świadomość realizowanego przez polską klasę robotniczą jedynie prawdziwego współczesnego patriotyzmu polskiego stworzyła i pogłębia ustawicznie jedność narodu przeciw wrogom Narodowego Frontu Walki o Pokój i Plan Sześcioletni. Ta sama świadomość tworzy bazę dla pozytywnego rozwiązania zagadnień, wynikających z istnienia różnych światopoglądów w jednym narodzie. Patriotyzm partii robotniczych, obrona godności narodów, podjęta przez te partie, podcina u podstaw korzenie antynarodowe oblicze prawicy, zapewnia partii robotniczej szeroką bazę sojuszników. Potęgą obozu lewicy w światowej walce z kapitalistycznym blokiem wojennym polega na tym, że w szeregach jej obok zwolenników marksizmu znajdują się wszyscy, którzy walczą o socjalistyczny ustrój społeczno-gospodarczy, choć nie przyjmują filozofii materialistycznej, że do szeregów jej dołączyli masowo i dołączają stale ci wszyscy, których świadomość nie dojrzała jeszcze do zrozumienia wielkości sprawy postępu społecznego, ale których prosty rozsądek i podstawowa uczciwość kieruje tam, gdzie jedynie mogą dać wyraz miłości własnego narodu.

Jawna w konkretnych faktach patriotyczna postawa partii robotniczych, udowodniona faktami zdrada interesów własnych narodów przez burżuazję, stawia wszystkich, którzy się znajdowali i jeszcze znajdują pod wpływami mentalności pravicowej przed moralną koniecznością wyciągnięcia pełnej konsekwencji z faktu, że patriotyzm jest na lewicy. Tehórzliwą postawą oportunistów, którzy uważają że poglądy ideowo-polityczne warto posiadać dopiero po wyniku projektowanej przez imperialistów trzeciej wojny światowej, rzeczywistość kwalifikuje jako obiektywnie antynarodową.

Edward M. SERWAŃSKI

Z wojennych dziejów polskiego robotnika

W 1945 r. w kołach poznańskich naukowców, zajmujących się badaniami dziejów okupacji, wielkie wrażenie wywarł dokument niemiecki, znaleziony na Śląsku, który później otrzymał nazwę memoriału śląskiego. Opracowany przez dr K. M. Pospieszalskiego i wydany przez Instytut Zachodni stanowi do dziś poważny wkład do dziejów okupacji hitlerowskiej w Polsce. Dokument ten jest wyjątkowo wartościowym źródłem do poznania warunków życia i pracy polskich robotników w Zagłębiu Dąbrowskim i wschodniej części Górnego Śląska z czasów ostatniej wojny. Jego opracowanie i wydanie dało początek dalszym pracom.

Warto o tych rzeczach wspomnieć dziś, w obliczu ponownie narastającego niebezpieczeństwa wojny, zwłaszcza teraz, kiedy na zachodzie Europy stawia się znowu na nogi siłę, która niedawno jeszcze osłaniała poczynania hitlerowców — Wehrmacht. Osłaniała ona wówczas idee „nowego porządku”. Jedną z tych idei było narodowo-socjalistyczne pojmowanie pracy, w wyniku której hitlerowcy zamienili dziesiątki milionów ludzi w nędzne rzesze niewolników.

Dr K. M. Pospieszalski w drugiej swojej pracy, poświęconej sytuacji prawnej narodu polskiego na „ziemiach wcielonych” do Rzeszy przedstawił także w jednym z rozdziałów sytuację Polaków na odcinku pracy. Pełny jednak obraz położenia robotników polskich na „ziemiach wcielonych” do Rzeszy i na terenie samej Rzeszy otrzymaliśmy dopiero w pracy prof. Władysława Rusińskiego, który specjalnie zajął się tym zagadnieniem.*)

Praca ta różni się zasadniczo od poprzednich: autor skorzystał bowiem w tym wypadku nie tylko ze znanych już źródeł i opracowań, ale uzupełnił swe dzieło materiałami nowymi, przede wszystkim zaś poważnym zbiorem pamiętników — spisanych na podstawie specjalnej ankiety — a zebranych głównie wśród studującej młodzieży. Z materiałów powyższych otrzymał autor nad wyraz szeroki wachlarz doświadczeń polskich robotników. Idąc śladami wywodów autora, będziemy mogli łatwo zorientować się w całokształcie interesującej nas sprawy, zwłaszcza że praca jego uwzględnia wspomniany już wyżej memoriał śląski i nieraz odwołuje się do pracy dr K. M. Pospieszalskiego.

ZALOŻENIA HITLEROWSKIEJ POLITYKI PRACY

CZYM miała być praca Polaków najlepiej wyjaśniają sformułowania polityczne hitlerizmu. Kierownik urzędu do spraw polityki narodowościowej przy namiestniku Rzeszy w Poznaniu dr Coulon tak scharakteryzował w 1941 r. w swym memoriale programowym zadania hitlerowskiej polityki pracy w stosunku do Polaków: „Cel polityki niemieckiej w stosunku do Polaków jest zupełnie jasno sprecyzowany. Polaka, jako siłę roboczą należy tak długo wykorzystywać, jak długo jest potrzebny, a następnie pozostawić samemu sobie, i to tak, aby rzeczywiście był skazany tylko na swoje własne niedostateczne siły i nie był już w możności wydzwignąć się przy jakiegokolwiek a zwłaszcza niemieckiej pomocy. Wszelkie posunięcia, które w jakiś

sposób wychodzą Polakom na korzyść sprzeczne są z tą linią polityczną. Zachowanie ich siły roboczej ma wprawdzie swoje znaczenie, ale na precyzowaniu linii politycznej nie może zaważyć”. Nie może zaważyć, bo — jak powiedział Himmler w 1940 r. — „Jest... rzeczą konieczną, aby wielki naród niemiecki widział główne swoje zadanie w wyniszczeniu wszystkich Polaków”.

Wielką rolę spełniała tutaj propaganda nienawiści: na polskich Ziemiach Zachodnich czasopisma partyjne, okólniki i instrukcje; w Rzeszy propagandę szerzył „Bund Deutscher Osten” oraz „Volksbund für das Deutschtum im Ausland”. Jak ta propaganda wyglądała niech przypomni zakończenie jednej z ulotek: „Niemce, Polak nie jest nigdy twoim kolegą! Stoi on niżej od każdego Niemca. Bądź zawsze, jako Niemiec, sprawiedliwy, ale nigdy nie zapominaj, że należysz do narodu panów...”

Polak dosłownie na każdym kręku czuł brzemie niewoli. Między innymi wprowadzono obowiązek kłaniania się Niemcom. Nakazywano obchodzić się z Polakami surowo, wręcz brutalnie. Greiser nawet tak instruuje: „Gospodarz, który nie umie przeklinać po polsku, nie zdoła nigdy wydobyc ostatni kłęb ze swego polskiego parobka”. W wielu innych wypadkach walczone z używaniem języka polskiego. Wkraczano także w dziedzinę życia prywatnego, a skoszarowanie pracujących tym bardziej umożliwiało tę kontrolę.

Oczywista, że w tej krótkiej relacji nie sposób przedstawić całokształtu politycznego nastawienia hitlerowców. Tkwili ono zresztą głęboko w szeregu innych, istotnych momentów pracy i życia robotników obcych narodowości na tere-

nie Rzeszy, a specjalnie Żydów, Rosjan i Polaków.

W RĘKACH ARBEITSAMTU

W historii niewolniczej pracy robotników szczególne miejsce zajmują sposoby werbunku przeprowadzanego przez hitlerowców. Stworzyli oni dla tych celów ogromny aparat. Pod urzędową nomenklaturą „urzędów pracy” ukrywała się w praktyce akcja, o której każdy z Polaków ma wystarczające wyobrażenie. Były woźny poznańskiego urzędu pracy stwierdza: „Prawie tę samą groźbę, którą wywoływało Gestapo wywoływał urząd pracy...” O Poznaniu, pisze jeden z autorów: „tragedie, jakie odgrywały się w związku z przymusem pracy w Arbeitsamcie, przejdą do historii. Arbeitsamty były obsadzone najdzikszymi polakożercami...” Inny pisze: „Szczególnie niemieckie siły kobiece celowały w brutalności. W stosunku do polskich kobiet nie miały krzty litości”. Dalej: „Do Polaków zgłaszających się do urzędu pracy w Gnieźnie odnoszono się brutalnie, wyzywano ich, popychano, nawet bito... Miałem możliwość słyszeć uderzenia, płacz, jęki bitych i wyzwiska Niemców”. Rusiński rekapitułuje: „Takich przykładów brutalności znajduje się w pamiętnikach więcej. Dotyczą one urzędów pracy w szeregu miejscowości zarówno Wielkopolski, jak i Pomorza oraz Śląska”. A oto charakterystyczny przykład: „W dniu 22.II.1942 r. poznański „Ostdeutsche Beobachter” zamieścił notatkę pt.: „Szybko ukarany napad na Niemkę”. Notatka donosiła o wykonaniu wyroku śmierci na Marii Góralczyk za targnięcie się na urzędniczkę poznańskiego urzędu pracy. Sprawa ta wywołała powszechne wzburzenie i komento-

wana była szeroko przez społeczeństwo polskie w Poznaniu”.

Nie mniej ważne z punktu widzenia traktowania człowieka były metody, że się tak wyrazimy, właściwego poboru. Znikome były dobrowolne zgłoszenia się. Tymczasem już od 1940 r. Niemcy odczuwali bardzo poważny brak sił roboczych. Oczywiście znaleźli oni cały repertuar metod i środków zapobiegających tym brakom. Podstawą rekrutacji stał się przymus indywidualny i masowy. Poszły w ruch osławione obławy policyjne, przeprowadzane — specjalnie przy współudziale partibranki, i, jak wyrażono się w pamiętnikach, „polowania”, wreszcie podstępne sprowadzanie ludzi na miejsce zbierek.

I znowu — niech mówią pamiętniki: „Organizowano masowe łapanki, przeważnie w nocy, wyciągano z domów, chwymano na ulicy. Posługiwano się przy tym psami, które wyszukiwały ukrytych ludzi. Bito przy tej okazji z białych nowodów zarówno mężczyzn, jak i kobiety”. Relacja z okolic Mogilna w Wielkopolsce: „W tym okresie, kiedy naprawdę odczuwano brak rąk do pracy, zmuszano przy pomocy policji wszystkie kobiety, matki od kilku dzieci, do stałej pracy w polu”. A teraz obrazek z okolic Bielska: „Jednego wieczoru przychodzimy do domu i dowiadujemy się, że przyszła policja i pozabierała młode dziewczęta w wieku 14 — 15 lat, nie pytając niktogo, ani nie dając czasu, by ze sobą coś wziąć lub odpowiednio się ubrać, lub pożegnać... Brano z domu, z pola, z pastwisk, tak jak dziewczęta stały... Przyszli, zabrali i powiedli wśród płaczu dzieci i niektórych obecnych szlochających i błagających matek do Arbeitsamtu do Bielska...”

Często obławy te dotyczyły do-

ważnych, czy sezonowych prac, względnie zajęć na miejscu, ale były przeprowadzane także z myślą o rekrutacji robotników do Rzeszy. I to był początek martyrologii. Rejestrowanie tych nieszczęśliwych, przeprowadzane przez administrację Arbeitsamtu, badanie lekarskie, zwłaszcza słynne tzw. odswadzanie oto poszczególne etapy wyprawy do Rzeszy, a sam transport wieńczył hitlerowskie dzieło.

Zwróćmy najpierw uwagę na badania lekarskie. Rusiński pisze: „...Badanie było z reguły niesłychanie powierzchowne. Jeden z pamiętników określa je jako „spojrzenie spoza szkieł doktorskich” inni mówią o „fikcji badania”. Często badanie ograniczono do tych tylko osób z grupy przeznaczonej na wyjazd, które zgłosiły się jako chore. Z chorób uwzględniano na ogół tylko widoczne kalectwa, otwartą gruźlicę oraz inne zakaźne, ewentualnie także schorzenia serca. Wypowiedzi te potwierdzają pamiętniki: „Zebrało się nas kilkaset osób, mężczyźni i kobiety osobno. Mężczyzn badało dwóch lekarzy, przypuszczam, że tylko pro forma, gdyż w przeciągu jednej godziny byliśmy wszyscy zbadani i jak zauważyłem, wszyscy uznani zostali jako zdolni do robót w Niemczech...”. Ktoś inny pisze: „Wycyłanych do Reichu poddawano bez wyjątku badaniu lekarskiemu. Była to znowu fikcja. Specjalny lekarz Arbeitsamtu nie badał właściwie, a tylko uznawał za zdolnego do pracy”.

Po badaniu lekarskim nie zawsze wywożono bezpośrednio do Rzeszy a tylko do tzw. „obozów przejściowych”. Pismo autor: „Pobyt w obozach przejściowych należał z reguły do

(Dokończenie na str. 4.)

Przeciążenie pracą i bezrobocie

W YDAWAŁOBY się, że nadmierne przeciążenie pracą robotników i wzrastające bezrobocie, to zjawiska, które wzajemnie się wykluczają. We Francji jednak oba te zjawiska w równie katastrofalny sposób nękają klasę robotniczą.

Z jednej strony bowiem cały szereg dziedzin życia gospodarczego pozostaje w całkowitym zastoju i codziennie nowe rzesze robotników znajdują się na bruku bez możliwości znalezienia zatrudnienia. Z drugiej zaś strony fabryki zbrojeniowe i bezpośrednio związane z produkcją wojenną inne gałęzie przemysłu za wszelką cenę starają się powiększyć intensywność pracy w swoich zakładach.

Intensyfikacja pracy staje się hasłem dnia i przedmiotem propagandy całej prasy francuskiej służącej interesom wielkiego kapitału.

W związku z tą kampanią postępowe katolickie pismo „La Quinzaine” z 30 kwietnia br. poświęca temu zagadnieniu artykuł pióra Jacques Cru przekonująco dowodzący, że w warunkach życia gospodarczego Francji wobec chaosu gospodarki kapitalistycznej i pogłębiającego się kryzysu ekonomicznego, wzmożenie wydajności pracy może tylko jeszcze pogorszyć sytuację gospodarczą kraju i powiększyć bezrobocie, przynosząc korzyści wyłącznie małej grupie kapitalistów.

Artykuł omawia wyłącznie ekonomiczne skutki polityki wielkiego kapitału, nie wdając się w ocenę jej agronomicznych i groźnych dla pokoju światowego celów.

Analizując katastrofalną sytuację gospodarczą Francji pismo podkreśla, że należy ją przypisać przyczynom

strukturalnym. Znamienne jest, że podczas gdy bogacą się poszczególne kapitaliści, rozwój kraju hamowany jest dotkliwie brakiem podstawowych inwestycji w dziedzinie energetyki, komunikacji itp. Państwo uginające się pod ciężarem rosnących deficytów budżetowych nie jest w stanie nie tylko przedsięwziąć większych robót publicznych, ale nawet w sposób wystarczający popierać badań naukowych czy też subsydiować szkolnictwo techniczne i zawodowe, bez których nie może być mowy o rozwoju gospodarczym.

Pismo zwraca równocześnie uwagę, że nie-mała wydajność pracy jest powodem zastoju w życiu gospodarczym Francji, ale jak powszechnie wiadomo brak podstawowych surowców. Ograniczenie wymiany międzynarodowej w zakresie surowców, do którego Francja została zmuszona przez Stany Zjednoczone i ich konkurencja na międzynarodowym rynku surowcowym — oto prawdziwe przyczyny trudności.

W tych warunkach łatwo dostrzec jakie rezultaty przynieść może kampania o zwiększenie wydajności przemysłu francuskiego. Na ten temat „La Quinzaine” pisze:

„Charakterystyczną cechą całej tej „wojny krzyżowej” jest to, że dąży ona do powiększenia wydajności przemysłu podczas gdy ograniczone jest zaopatrzenie w surowce i energię. Jest oczywiste, że doprowadzi to:

- do utrzymania produkcji mniej więcej na obecnym poziomie, mimo przyspieszenia technicznych procesów produkcji
- oraz na skutek tego przyspieszenia, do ograniczania liczby

zatrudnionych to znaczy do nieuchronnie zwiększającego się bezrobocia”

Te łatwe do przewidzenia skutki bynajmniej nie odstraszały kapitalistów francuskich od stosowania za przykładem USA coraz to bardziej wyszukanych sposobów, aby tylko zwiększyć tempo produkcji, intensyfikacji pracy i... co za tym idzie zastosować bardziej brutalny wyzysk robotnika. „La Quinzaine” podaje jedną z wielu metod stosowanych w tym celu:

„W fabrykach pojawił się dziś nowy wróg: kamera filmowa. Filmuje się robotnika przy pracy. W zwolnionym tempie wyświetla się film i analizuje się wszystkie ruchy robotnika, aby wykryć te, które rzekomo są zbędne. W rezultacie ogranicza się czas przysługujący dla wykonania każdej czynności. I robotnik staje się nieczym innym jak pozbawionym indywidualności automatem, którego każdy gest jest najdokładniej skalkulowany, odmierzony i narzucony przez eksperta. Oczywiście — dodaje autor artykułu — nigdy nikt nie pyta o zdanie robotnika”.

Aby ocenić skutki jakie powoduje to nieodpowiedzialne przyspieszenie tempa pracy wystarczy skonfrontować to zjawisko ze statystyką wypadków przy pracy. Liczba ich (nie licząc górniczo i zakładów pozostających w zarządzie społecznym) wynosiła we Francji w roku 1937 — 601.762, w roku 1949 — 972.239, a w roku 1950 — 1.673.610. Równocześnie liczba wypadków śmiertelnych w roku 1950 (w stosunku do roku 1949) wzrosła o 23,8% a liczba wypadków powodujących całkowitą niezdolność do pracy — o 19,2%.

Prerażająca wymowa tych cyfr nie wymaga komentarzy. Warto jednak podkreślić, że gdy we Francji wyzysk robotnika i brak elementarnej troski o człowieka w rezultacie przynoszą tak wstrząsającą statystykę, równocześnie u nas praca podniesiona została do najwyższej godności. Wyniki jej nie wzbogacają pojedynczych kapitalistów, ale są wspólnym dobrem całego społeczeństwa, przede wszystkim robotnika. Dzięki rozszerzającemu się ruchowi racjonalizatorskiemu systematycznie zwiększanie się wydajności pracy jest dziełem twórczego wysiłku samych robotników. Praca fizyczna nie automatyzuje się tak jak na Zachodzie ale w coraz szerszym zakresie nabiera cech świadomego twórczego działania.

Tragiczne położenie robotnika francuskiego pogarsza jeszcze świadomość, że pracując ponad siły wzbogaca on tylko kapitalistę a krajowi nie przynosi żadnego pożytku. Co gorsza wie on, że zwiększając pod przymusem wydajność pracy często kosztuje własnego zdrowia powiększa szereg innych towarzyszących, którzy skazani są na klęskę bezrobocia.

Streszczone tu rozważania kończą się uderzającym swą trafnością wnioskiem:

„Ekonomiści, którzy głoszą hasło zwiększenia wydajności pracy w przemśle izolując ten problem od określonego kontekstu całej sytuacji politycznej i społecznej mylą tylko oczy.”

Ale teoryjki i propaganda nie zdolają zaprzeczyć faktom”.

*) Władysław Rusiński, Położenie robotników polskich w czasie wojny 1939 — 1945 na terenie Rzeszy i obszarów wcielonych, część I, wydanie drugie, uzupełnione. Poznań 1950. Instytut Zachodni.

Stefan LICHANŃSKI

Debiut Łepkowskiego

TYTUŁ powieści Łepkowskiego*) przywodzi na pamięć tytuł wielotomowego cyklu Jules Romainsa „Ludzie dobrej woli”. Sprawa nie wy-czerpuje się oczywiście na tym, że obaj autorzy użyli w tytułach swych powieści słowa „ludzie”. Romains jest najbardziej konsekwentnym i najbardziej obok Duhamela reprezentacyjnym przedstawicielem unanimitizmu. „Ludzie znad zatoki” zaś to próba nawiązania do tradycji prozy unanimitystycznej. Nie ma w tej książce głównego bohatera: zastępuje go zbiorowość; nie ma jednolitej akcji powieściowej ani też zwartej kompozycji, powieść Łepkowskiego składa się z cyklu krótkich, samodzielnych epizodów, stanowiących jakby luźne „strzępy epopei” gdańsko-pomorskiej z lat 1939-1945; nie ma również ciągłości rozwoju losów i kształtowania się charakterów ludzkich, a tylko co pewien czas wracają te same postaci, rzucone na tło nowych warunków i sytuacji, pokazane w toku bezpośredniego reagowania na zachodzące właśnie zdarzenia. Słowem: próba przełamania klasycznej konwencji powieściopisarskiej na rzecz przedstawiania fragmentów „na gorąco” chwytanej rzeczywistości. Tę antykonwencjonalność swojej koncepcji powieści, stara się autor podkreślić przez akcentowanie dokumentalnego charakteru książki biorąc na siebie we wstępnych jej fragmentach rolę narratora, opowiadając o osobistych kontaktach z bohaterami powieści, zbieraniu materiałów, zwiedzaniu terenu akcji. Ten chwyt kompozycyjny jest grubo starszy niż teoria i praktyka unanimitistów (stosował go już Niemcewicz w „Dwóch panach Sieciechach”). Przy pisaniu dalszego ciągu powieści autor zresztą nie wyciąga żadnych praktycznych konsekwencji z owej fikcji dokumentu i autopsji, przechodząc do unanimitystycznej techniki opowiadania, tak jakby go pamiętnikarsko-reportażowa ekspozycja własnego utworu nie nie obchodziła i do niczego nie zobowiązywała.

Ta ekspozycja to taki „zgnębiony ślad”, „wdeptane ziarno”: niby coś się zaczyna, a później przepada: Robi ona wrażenie jakiejś pozostałości pierwotnego zamysłu autorskiego wbudowanej w odmiennie pomyślaną całość bez uwagi na wynikające stąd zakłócenie jednolitej architektoniki utworu. Ale może było to zrobione świadomie? Tak jak te sztuczne ruiny w esienastowiecznych parkach stylizowanych na preromantyczny gust ówczesnego sentymentalizmu? Bo co najbardziej uderza w „Ludziach znad zatoki”, to właśnie troska o niezwykłość, oryginalność, o narzucenie czytelnikowi wrażenia nowości, a tak że pewnej nonszalancji w stosunku do ustalonych pojęć o tym „czym powieść być powinna”.

Autor jakby mówił: „Mam tu dokumenty, mam zanotowane rozmowy z ludźmi, ale to przecież tylko surowiec, ruda. Mogłoby z tego zrobić

upowieściowiony reportaż. To jednak dla mnie za mało. Pakuję ten materiał w tygiel wyobraźni, żeby go przepocić, przefermować, żebyście dostali ode mnie nie jakieś tam protokoły i reportaże, lecz dzieło sztuki — moje własne dzieło: oryginalne i piękne”. No i rzeczywiście: piękności, zwłaszcza stylistycznych i opisowych, jest w „Ludziach znad zatoki” niemało. Otwieram tekst i zaraz na pierwszej stronie czytam: „pod czerwone gmachy urzędów zajęchały pierwsze platformy z deskami. Pustka wyrwanych okien powoli wypełniała się odbłaskiem szyb. Z najwyższych pięter razem z wesołym gwarem pracujących



Andrzej Łepkowski

cięśli sypał się pisk śmigających jeryzków, przecinających drogą wiadrom z wapnem i belkom podciągającym do góry na bieżących Osmolone kikuty drzew pokrywały się kępami młodej zieleni. Niewiele jej było, ale przecież wykluła się... Cieszyła oczy, znużone kontemplowaniem rudego strupa pogruchotanych cegieł”. Ładne? Niewątpliwie ładne. Albo taki np. fragment: „Zaczął się ruch, któremu przyświecał różowy zachód. Na chylone nad robotą postacie stygły jak rozżarzone główne. Cień opłatał najpierw nogi, później biodra i piersi. Wreszcie pozostały tylko palające twarze. Ale i te nurkowały coraz częściej w zimnym zielonym zaciszu skrzynek i burt”.

Widać, że Łepkowskiemu — powieściopisarzowi pomagali Łepkowski — malarz i Łepkowski — poeta. Imponuje mi ta solidarność. Chwilami jednak mam wątpliwości, czy tamci dwaj nie zanadto się rozgospodarowali na terenie powieściopisarstwa, czy nie zbyt często wstawiali mu swoje racje, upodobania i pomysły, a on (najmłodszy z całej trójki!) czy nie był wobec nich za bardzo uległy i pokorny. Bo — jak na mój gust — tych wszelkich malarsko-poetyckich, episodowych i stylistycznych ładności jest w książce zbyt wiele. Chwilami ma się wrażenie, że gwoli im właśnie napisano całą powieść, że jest ona taką wielką etiudą

stylistyczną, taką suitą małych form prozatorskich (piękne zdanie, opis, sytuacja, dialog jako konfrontacja dwu odmiennych charakterów itp.), a wszystko inne (wydarzenia historyczne, problemy, ludzie), to wszystko, co wola o wielką formę epickiego realizmu, co stanowić powinno substancję dzieła, spada do roli — słowami Witkacego mówiąc — „elementu koniecznego ale nieistotnego”.

Czego w tej książce nie ma! Jest akcja hitlerowców na terenie Gdańska, działalność wywiadu niemieckiego na Pomorzu, praca rybaków, konflikty i dramaty rodzinne, jest i konspiracja i tajne nauczanie, jest obóz koncentracyjny i Gestapo... Mnóstwo postaci, mnóstwo zagadnień i mnóstwo zdarzeń, ale ostatecznym rezultatem tego nadmiernego „bogactwa” jest wrażenie chaosu. Powieść przemienia się w luźny zbiór imprezjonistycznych „obrazków”, „migawek z życia”. Procesy duchowych przeobrażeń bohaterów odbywają się gdzieś między rozdzielcami; poza wycinkiem rzeczywistości pokazanym w książce dzieła również mechanizm wydarzeń politycznych pchających naprzód akcję powieści. W książce mamy do czynienia prawie wyłącznie z *rezultatami, przyczyną i rozwój wydarzeń* zostają poza zasięgiem naszego wzroku. Wskutek tego powieść Łepkowskiego staje się jakby cyklem beletrystycznych ilustracji do rzeczywistości a nie napisanej historii „ludzi znad zatoki” w okresie drugiej wojny światowej.

Łepkowskiego uwiódła pokusa wielkiego tematu. Zamiar przerósł jego siły. Ten rasowy sensualista, niezwykle uczulony na barwy, kształty, na wszystkie w ogóle uchwytnie zmysłowe elementy świata rzeczy i faktów, świetny nieraz w partiach czysto opisowych oraz w scenach rodzajowych (obrazy życia i pracy rybaków) i satyrycznych (kapitałna sylwetka „przemysłowca” Jankowskiego i jego ponuro-humorystyczne aczkolwiek tragicznym finale zamykające się perypetie), zawodził tam, gdzie porwał się na problematykę bardziej skomplikowaną. Dlatego najbardziej blado rysują się postaci pierwszoplanowe, jak np. Konkel, Majewski, Storch, ks. Wiśniewski, i dlatego też najslabiej wypadają momenty, które miały zawierać najsilniejszy ładunek treści ideologicznej i tragizmu sytuacyjnego (nocna rozmowa Kuny z ks. Wiśniewskim czy scena śmierci wika-rego).

Nie zapominajmy jednak, że „Ludzie znad zatoki” są debiutem. Rzadko zaś debiut bywa spełnieniem. Wystarczy, jeżeli jest zapowiedzią. Otóż stwierdzić trzeba, że powieść Łepkowskiego zapowiada talent silny i samodzielny. Jest w tej książce niewątpliwie kultura literacka, jest panowanie nad słowem oraz wycucie jego walorów dźwiękowych, kolorystycznych i uczuciowych, jest bystrość obserwacji oraz pewność ręki w cby-sowywaniu konturów ludzi, rzeczy i zdarzeń, jest też duża pomysłowość a zarazem umiar i rzeczowość w budowaniu poszczególnych epizodów. „Nie wyszły” próby pogłębień charakterologicznych, zawiódł patos scen o największym (według zamiaru autora) ładunku myślowym i napięciu dramatycznym, nie udało się próba eposu o „ludziach znad zatoki”. Ale te niepowodzenia są rezultatem porwania się na sprawy zbyt trudne dla początkującego dopiero w dziedzinie prozy pisarza. Przegrał przez nadmiar ambicji. Bardzo ładna i zaszczytna porażka. „Jeżeli spaść z konia, to z dobrego” — jak mówi przysłowie.

A w każdym razie książkę warto przeczytać, choćby dlatego, żeby móc ją później porównać z następną powieścią tegoż autora, na pewno już — oby! oby! — mocniejszą i dojrzalszą.

Z dziejów robotnika

(Dokończenie ze str. 3)

najgorszych przejść robotników polskich w czasie wojny. W obozie poznańskim przy krótszym (1—2 dniowym) pobycie robotnikom kazano odżywiać się z własnych zapasów, nie podając im nic do jedzenia prócz kawy i ewentualnie małowartościowej zupy. Robotnicy zmuszeni byli sypiać w opłakanych warunkach, często bez koca i siennika, niekiedy nawet mężczyźni razem z kobietami. Najistotniejszym zabiegiem przeprowadzanym w obozach przejściowych było tzw. „odwyszczawianie”.

Zacytujemy także kilka słów o transportach: Rusiński pisze: „...Transporty masowe organizowano nieraz w sposób przypominający transporty bydła lub nierogacizny. Wywożonych prowadzono niekiedy na dworzec jak wagonów i wieziono na miejsce pod zamknięciem”. A teraz nad wyraz charakterystyczna wypowiedź wzięta z pamiętnika (Ciechanów): „Po komisji zjechał się żandarmi i całą noc nas p'nowali. Godz. 8 rano, 17.III. odjazd do s'żacji. Jechaliśmy podwodami s'rodkiem szosy, a rowerami żandarmi i SA na koniach z karabinami w pogotowiu do strzału... Podwozy stanęły na stacji. Rozkaz: wysiadać z wozów, ładować się na wagony. Dziewczyny do osobowych, a chłopcy do towarowych. Trafilo mnie i kilku moich kolegów do takiego wagonu, co gnoju było na 20 cm. Straszny swąd. W jednej chwili s'lychać straszny łoskot o wagony. W kilku chwilach o nasz wagon. Zamykają drzwi i zabijają gwoździem. W jednej chwili zrobiło się ciemno. Siedzimy i czekamy, co będzie dalej. Jeden raz transport rzuca... jedziemy i nie wiemy gdzie i dokąd. Jechaliśmy w tych wagonach dwie noce i dni bez wody i oglądania świata boiego”.

Przecież najkapitałniejszą stroną tego hitlerowskiego niewolnictwa była dystrybucja robotników. Na Ziemiach Zachodnich wyglądała ona następująco: „W stosunku do Polaków przeznaczonych do pracy w rolnictwie stosowano procedurę uproszczoną. Gospodarze niemieccy, poszukujący robotników, w oznaczonym dniu stawiali się w urzędzie pracy, który w tymże dniu organizował „spedy” polskich sił roboczych. Polaków ustawiano w szeregu, i każdy z gospodarzy wybierał sobie to, czego mu było potrzeba. Pamiętniki porównują: często ten sposób angażowania sił roboczych do targów na niewolników. Połobienstwo jest rzeczywiście niezwykle uderzające, zwłaszcza że i odnoszenie się gospodarzy do pracowników w wielu wypadkach było podobne; lustrowano budowę Polaków, szacowano ich przydatność do pracy, dotykano rąk i pleców, badano wytrzymałość mięśni. Jako służące szczególnym „popytem” cieszyły się b. uczennice gimnazjalne”.

A w Rzeszy było podobnie, jak czytamy w pamiętnikach: „Sposób w jaki odbywał się ów przydział, przypominał żywo targ na konie i bydło. Według podziału uczynionego przez urzędników urzędu pracy, musieliśmy ustawiać się w dwuszeręgu i czekać na przybycie naszego nowego „właściciela”. Taki właściciel lustrował ten dwuszeręg, oglądał każdego z osobna, wydawał o każdym swój sąd. Gdy mu ktoś nie odpowiadał czy to ze względu na słabą budowę, czy też z wyglądu zewnętrznego, wnosił reklamację do urzędu pracy o wymianę tego nieodpowiedniego dla siebie człowieka na innego. Dochodziło też czasem do transakcji wymiennych między samymi

nabywcami „ludzkiego towaru”. W ten sposób nieraz odrywano ojca od syna lub córki, brata od siostry, rozbijając rodziny i rzucając ich członków w różne strony Niemiec”. Tak było np. w Tylży.

WARUNKI PRACY

WRESZCIE zaczęła się sama praca. A warunki pracy były częstokroć zaprzeczeniem postępu, o którym hitlerowcy tak chętnie i wiele mówili. Pracowników ze wszystkich terenów okupowanych przeznaczano głównie do pracy fizycznej nie patrząc na kwalifikacje, na wiek ani na płeć. Nie włączono ich w hitlerowską organizację „świata pracy”. Przeło tak przedsiębiorca, jak administracja, przełożeni pracy, a zwłaszcza straż fabryczna, która się najgorzej zapisała, wszyscy byli przeciwni nim. Wymierzano karę chłosty za nieostrożność przy pracy.

LOS DZIECI

JEST w tej martyrologii polskiego robotnika w Rzeszy rozdział szczególnie, o czym niesposób nie wspomnieć, a mianowicie dotyczący dolnej części. Na terenie Wielkopolski zaangażowano do stałej pracy wszystkich nieletnich powyżej lat 12, na innych terenach i w Rzeszy powyżej lat 14, ale także i dzieci 13-letnie i 12-letnie. Jakkolwiek w Rzeszy hitlerowskiej istniało specjalne ustawodawstwo i formalnie nieletnią młodzież polską nie wyłączono z tej ustawy, to w praktyce Generalny Pełnomocnik do Spraw Zatrudnienia zalecił poufny okólnikiem z 12.6.1942 r., aby tych postanowień nie brano zbyt dosłownie gdyż „nie ma podstaw do wykonywania opieki nad polskimi dziećmi tak ściśle jak nad dziećmi niemieckimi”. (Już wyżej podaliśmy, że Polaków w wieku lat 14—18 obowiązywała taka sama ilość godzin pracy jak dorosłych). „Ten stan prawny — pisze Rusiński — utrzymał się do końca wojny. Warto jeszcze zaznaczyć, że prawo karne dla Polaków i Żydów z 4.12.1941 obowiązywało również młodocianych”.

O pracy dzieci pisze Rusiński: „W Poznaniu znaczna liczba dzieci 12 i 13-letnich pracowała m.in. w zakładach H. Cegielski oraz w firmie Telefunken. W Gnieźnie dzieci 12 i 13-letnie zatrudniano regularnie już od 1940 r. przy regulowaniu brzegów jeziora. Płacono im 2,50 RM na tydzień”. Fragment z pamiętnika: „W r. 1944 zatrudniono w naszej firmie przeszło 100 dziewczyn w wieku od 12—14 lat. Dzieci te musiały pracować często tak długo jak dorośli, po 12 godzin. Musiały także pracować w nocy”. Zatrudniano także i dzieci poniżej lat 12-letni.

Jeśli chodzi o kobiety pracujące w czasie okupacji, nie korzystały one z opieki prawnej przysługującej Niemcom. Nie stosowała się do nich ustawa o ochronie macierzyństwa.

W jednym ogólnym rzucie nie sposób zobrazować wszystkiego. Trzeba by samemu zaglądnąć do opracowań. Jednakże ten skromny zarys naszpikowany „żywym słowem” pamiętników i cytatami autora najważniejszej pracy w tej dziedzinie może spełnić postulat przypomnienia „tamtych czasów”.

Dziś, w obliczu wielkich przemian jakie przeżywamy, tamta hitlerowska niewola specjalnie nableśnie odrażającego wyrazu. Groźba nam znowu niebezpieczeństwo wzywa nas — szczególnie przez pamięć na tamte czasy — do tym większej mobilizacji na rzecz pokoju.

Edward M. Serwański

LIST DO REDAKCJI

Wielce Szanowny Fanie Redaktorze!

Jako wydawca Pamiętników Kazimierza Chłędowskiego uprzejmie proszę o zamieszczenie na łamach „Dziś i Jutro” następującej notatki. W „Dziś i Jutro”, nrze 19 z 11 maja br. ukazało się omówienie „Pamiętników” K. Chłędowskiego pióra p. Kw. (Pamiętnik ekscelencji). W sprawozdaniu tym pisze autor m. in. „warto tu wspomnieć nieznaną bodaj p. Knotowi, autorowi przedmowy do Chłędowskiego, pamiętnik galicyjski Bobrowskiego. Brać je oczywiście należy zawsze cum grano salis. Zastrzeżenie to dotyczy również „Pamiętników” Chłędowskiego”. Czy nie zachodzi tutaj pomysłka ze strony p. Kw.?

Nie znam „galicyjskiego” pamięt-

nika Bobrowskiego. Natomiast znane mi są dobrze Pamiętniki Tadeusza Bobrowskiego, 1—2, Lwów 1900, które dotyczą Ukrainy i w najmniejszej mierze nie zahaczają o zabór austriacki. Niemniej znana mi jest polemika, jaka miała miejsce po wydaniu tychże Pamiętników. Stąd też nie widziałem najmniejszej potrzeby cytować Bobrowskiego w przedmowie, gdzie dałem bardzo zwięzły przegląd pamiętnikarstwa galicyjskiego. Jeżeli o te właśnie Pamiętniki Bobrowskiego idzie, w takim razie zarzut p. Kw. jest chyba nieporozumieniem. Cieszyłbym się z kilku słów wyjaśnienia na łamach „Dziś i Jutro”.

Dr Antoni Knot
Dyr. Biblioteki Uniwersyteckiej
we Wrocławiu

Jerzy Andrzej GÓRSKI

Reportaż znad Motławy

W PRAWDZIE ilekroć toczy się jakakolwiek dyskusja wokół powieści współczesnej krytycy literatury głoszą tezę, że pisarzy naszych czasów nęci przede wszystkim reportaż i że ku niemu ciągną wyraźnie nawet w beletrystyce. Jednak ze smutkiem stwierdzać wypada, że polski dorobek w dziedzinie reportażu nie przedstawia się bynajmniej bogate. Oczywiście, mam tu na myśli wydawnictwa książkowe, dążenie do uchwylenia i przedstawienia czytelnikowi możliwie pełnego całokształtu pewnej określonej problematyki bez względu na to, czy będzie to jakaś gałąź przemysłu reprezentowana przez zakłady rozsiane po całym kraju, czy obszar geograficzny przemierzony wzdłuż i wszerz przez reportera. Chodzi o tak zwany „wielki reportaż”. I, rzecz dziwna, o ile możemy się poszczycić w tej dziedzinie wytrwałą codzienną pracą dziennikarzy i literatów przekazujących na łamach pism swe wrażenia, spostrzeżenia i uwagi z terenu całej Polski, docierających z piórem i aparatem fotograficznym do każdego za-

czystych lekceważyć nie wolno i że pewna proporcja musi być zachowana, choćby taka à la M. Brandys: raz Nowa Huta raz Włochy. Czasy epatowania się daleką egzotyką minęły bezpowrotnie, nie ma miejsca na postawę tego rodzaju, że jak reportaż to Hawaje, w najgorszym wypadku coś z fiordów, a o Kielcach — pisać nie warto. I to rozumieją chyba wszyscy. Dziwić się więc wypada, że ogrom i różnorodność współczesnej polskiej tematyki nie znalazły dotąd odbicia w literaturze reportażowej. Czasem aż wstyd ogarnia. Ile wyszło u nas pozycji związanych z zagospodarowaniem Ziemi Zachodnich, z odbudową tamtejszych miast, wsi i ośrodków fabrycznych, z rozbudową przemysłu, rolnictwa, portów? Odpowiedź brzmi bardzo nieprzyjemnie. A przecież ze wszystkich gatunków literackich właśnie reportaż najbardziej nowolany jest do tego, by dać wszechstronny obraz historii naszych dni oglądanej „na gorąco”, by stać się dokumentem nie tylko dla przyszłych pokoleń, lecz dla nas, by nas właś-

nie wydaną książką reportażową o polskim Gdańsku. Mogło by się wydawać, że autor mieszkający wśród opisywanych przez siebie obiektów ma zadanie ułatwione w porównaniu z przybyszem, który wpada jak po ogniu z setką punktów wygrzymlonych na kartce i redaktorskim terminem na karku. Złudzenie! Stałemu mieszkańcowi Gdańska czy Warszawy znacznie trudniej jest zdobyć się na syntetyzujące spojrzenie. Nie odgrywają tu nawet roli momenty czysto emocjonalne, ale po prostu chodząc od rana do wieczora ulicami, stykając się z setkami ludzi, których pochłania to samo zagadnienie zatracają właściwe proporcje zdarzeń. Wszystko co prowadzi do upragnionego celu jest jednakowo ważne — ten brak perspektywy przeszkadza w wypełnianiu obowiązków sprawozdawczych. Wszystkiego przecież opisać nie podobna, a znów każdego szczegółu, który trzeba odrzucić, tak bardzo szkoda. W rezultacie człowiek gubi się w tłoku napierających na niego faktów, zdarzeń, nazwisk i w końcu trochę na ślepo dokonuje wyboru, przeważnie nienajlepszego.

Trudności te pozostawiły dość wyraźne ślady w książce Wnuka, oświadczenie nie potrafię jednak wnieść o to pod jego adresem pretensji. Natomiast wydaje mi się, że skoro wybrał już takie a nie inne zagadnienia to koncepcję swej pracy mógł opracować w sposób bardziej precyzyjny. Książka Wnuka nie jest, jak to się najczęściej zdarza, zbiorem reportaży ogłaszanych w różnym czasie, mechanicznie sklepanych razem, pisana była jako całość, dając tym samym autorowi szereg możliwości, z których nie zawsze, niestety, korzystał.

Wnuk skupia się przede wszystkim na zagadnieniach architektoniczno-urbanistycznych, pisze o zniszczeniach, które zastał, obejmując miasto, o trudzie odbudowy, o dyskusjach fachowców, o wysiłkach robotników, techników, inżynierów. Widać, że nie tylko śledził przez kilka lat wznoszące się mury i pilnie uczęszczał do architektonicznych pracowni, ale że wnosił wiele przemyśleń w swój „prywatny” obraz Gdańska, że nie tylko powtarza to, co pokazano mu i powiedziano, lecz ma o wszystkim własny sąd. I trzeba przyznać, że „Wiosna nad Motławą” spełnia całkowicie zadanie popularnej monografii odbudowy Gdańska, jest plastycznym streszczeniem kroniki ostatnich siedmiu lat.

NIESTETY, kronika posiada wszystkie wymagane walory jedynie tam gdzie chodzi o mury, wieże i o rzeczy martwe, które są przecież wytworem ludzkiej ręki. Żywych ludzi w książce Wnuka zabrakło. Jest wprawdzie doskonale skreślony wizerunek murarza Janiny Gołębiowskiej. Jest Soldek sprezentowany na cudzy rachunek za pomocą cytatu z jego broszury. Jest jeszcze kilka postaci znanych z nazwiska i bardzo sucho fotograficznie ujętego dorobku. I to wszystko. Wnuk nie pokazał, jak razem z murami rosną, wychowują się i pogłębiają ludzie, nie pokazał budowniczych Gdańska ani na rusztowaniach, ani w domowych ścianach, ani w pociągach, którymi wielu z nich od lat dojeżdża wytrwale z okolic Tczewa a nawet dalszych miejscowości, przedkładając niewygody i wstawanie przed świtem nad wyrzeczenie się pracy w Gdańsku.

U Wnuka widzimy bardzo wnikliwie zarysowany etap wstępny podejmowanych robót: plany, dyskusje, argumentację historyczną, etap końcowy, imponujące rezultaty, brak jest natomiast budowy i jej ludzi, codziennych wysiłków, współzawodnictwa, trudności i ich przezwyciężania — wszystkiego tego co stanowi treść kolejnych dni ludzi pracy. Tak zasadnicze niedociągnięcie wy-



Gdańsk — Posąg Merkurego sprzed Dworu Artusa.

daje się tym bardziej niezrozumiałe, że pisząc o Gołębiowskiej Wnuk dał dowód, iż doskonale potrafi ukazać czytelnikom, zbliżyć żywego człowieka zarysować w sugestywnym skrócie jego drogę życiową, uwytklając zachodzące tak wokół niego, jak w nim samym przemiany, że dostrzeżać proces wewnętrznej przebudowy człowieka, jego kształtowania się w nowej epoce, którą ów człowiek współtworzy.

Autor „Wiosny nad Motławą” zna dobrze historię Gdańska. Mimo, że nie zagłębia się w długie wykłady, co stanowczo na plus mu zapisać należy, nie trudno dostrzec, że Wnuk ma poza sobą wnikliwe studia, że niejedną godzinę przesiedział w archiwach. Wiadomości swe wplata bardzo zręcznie małymi dawkami w tekst, podbudowuje nimi umiejętnie opowieść o nowym Gdańsku, toteż mimo tej fragmentaryczności czytelnik zawdzięczać będzie książce sporo wiedzy o historii Gdańska.

Jedno wszelako zagadnienie, choć kilkakrotnie poruszone przez autora nie doczekało się z jego strony wyczerpującego oświetlenia. Pisząc o architekturze starego Gdańska raz po raz wymienia się nazwisko o flamandzkim brzmieniu. O Niderland-

czykach mowa jest także w rozdziale poświęconym Żułavom. Otóż Wnuk z faktów tych nie wyciągnął wniosków, które już dawno stwierdzone zostały przez naszych naukowców. Mianowicie, że na przestrzeni długich dziesiątków lat niemiecka reakcyjna i rewizjonistyczna historiografia a w ślad za nią hitlerowscy spadkobiercy ogłaszając Gdańsk jako Urdeutsche Stadt wśród licznych oszukańczo spreparowanych argumentów mieli jeden napozór wymowny a polegający na wylizaniu pomników kultury materialnej — „tworu niemieckich mózgów i dłoni”. Wprawdzie, gdyby nawet tak było to i tak daleko do przesądzenia sprawy, gdyż cała historia świadczy o polskości wybrzeża i jego portów, jednak warto przypomnieć, że „argument” ten jest ordynarnym zdyskontowaniem dorobku Niderlandczyków. Zjawisko to, jego konsekwencje miały miejsce nie tylko w Gdańsku, spotykamy się z nimi i w innych połaciach Polski. Niderlandczyków w miastach polskich było sporo, duże były miejscami skupiska kolonizatorów. Część, rzeczwiście, zniemczyła się z czasem, część znikła, zasymilowała się, emi-

(Dokończenie na str. 6.)



Gdańsk — Kościół N. Maryi Panny

każka, każdej fabryki, szkoły, spółdzielni produkcyjnej czy odbudowanego zabytku, o tyle brak jest zupełnie publikacji systematyzujących ten dorobek gorączkowych podróży i notatek, prób syntezy, chęci dania pełniejszego, głębszego wyrazu pisanyemu świadectwom przemian naszej epoki. Nie doszukujemy się winnego — na pewno niejedno dało by się zarzucić zarówno ludziom pióra jak i wydawnictwom — ważne jest by wspomniana tu niedomoga została usunięta, by tak uprzywilejowane dziś stanowisko reportażu w hierarchii literackiej nie było nominacją udzieloną a conto przyszłych zasług.

Przeglądając dość ubogą listę polskich wydawnictw reportażowych dostrzegamy, że najlepsze jej pozycje poświęcone są tematyce zagranicznej. Należy się jak najbardziej cieszyć z faktu, że szeroki krąg zainteresowań i bystrość widzenia i wysoki poziom artystyczny, ale... To „ale” polega na tym, że spraw oj-

nie informować, uczyć, zachęcać przykładem innych i wychowywać.

W niezbyt wesołej a opisanej powyżej atmosferze (nie jestem zresztą pesymistą — wręcz przeciwnie jestem przekonany, że wkrótce zapewnimy i tę lukę naszego piśmiennictwa) każdy ukazujący się na półkach zbiór reportaży powitać trzeba nie tylko zainteresowaniem lecz także radosnym westchnieniem ulgi. A cóż dopiero, gdy reportaże te są wynikiem obserwacji dokonywanych na Ziemiach Zachodnich.

TAKA książka właśnie obdarzył nas ostatnio „Pax”, wydając tom reportaży Włodzimierza Wnuka pt. „Wiosna nad Motławą”. Wnuk obejmuje swą publikacją niewielki wprawdzie, ale za to niezwykle ważny skrawek Polski — Gdańsk. I tu trzeba od razu powiedzieć, że bez względu na uwagi, które nastąpią poniżej, pochlebne czy negatywne, istotny, będący niewątpliwie tytułem do zasługi jest sam fakt, że „Wiosna nad Motławą” jest pierwszą po woj-

Zdzisław ŁACZKOWSKI

Bołkwicko nocą

Żagle czarne za oknem.

Małeńki port na niebie.

Mierzeja rozpuściła wzdłuż brzegów z brązu swój cień brzozyowy.

Gałązką mlecznej drogi łowi w podziwiew zaczarowane w muszle gwiazd wydmowe trawy.

Laternia zniknęła w ciemnym drzew powiewie.

Wodą leżą się gwiazdy — granatu jądry w łuki jasno łamią.

To księżyc maszty złotym nożykiem rozłupał i zagrał o wiatr.

Odplywa po linach

gasnąca pieśń marynarzy.

Wieczór — muzyczny plak.

Ktoś w porcie czeka w milczeniu.

Czasem gwiazda o molo złotystym wystrzałem zabrzęknie

lub stoczy się wzgórzem ku ziemi

i wśród siłowia czerwoną pieczęcią przykleśnie.

Cisza.

I.

DZIWNYM trafem dwie wiosny, rzeczywista i literacka, spotkały się w tym roku w jednakowym mniej więcej czasie na Wybrzeżu. Wiosna tegoroczna była nad Bałtykiem, jak zresztą i w całej Polsce, bardzo kapryśna i oporna, jednak bardziej oporną była chyba ta druga, „wiosna literacka”, która po długim, zimowym okresie, trwającym bez mała cztery lata, zjawiała się na Wybrzeżu dopiero w tym roku. Pierwszym przebiegnięciem, który zasymulizował o przełamaniu martwego dotychczas sezonu, była powieść Fenikowskiego: „Zakręt Pięciu Gwizdków”. Po niej, w krótkich odstępach czasu pojawiły się następne pozycje: powieści Przewłockiej, Bądkowskiego, Łepkowskiego oraz reportaże Wnuka i Balceraka.

Sześć pozycji, opublikowanych z wiosną 1952 stanowią w pewnym sensie ilościową rewelację, zwłaszcza, że dotychczas o sprawach morskich pisało się niewiele a twórczość literatów Wybrzeża była jak dotąd — chimeryczna. Można śmiało powiedzieć, że rok 1952 zapoczątkował nowy okres twórczości marynistycznej, nowy w sensie nie tylko ilości, ale

przede wszystkim — jakości. Różnica, jaka daje się zauważyć między nowymi książkami a pozycjami, wydanymi w latach 1946 — 49, zresztą bardzo nielicznymi, jest oczywista. Polega ona na następujących czynnikach:

1. Zerwanie z dotychczasową manierą marynizmu, która polegała na uwyppuklaniu przede wszystkim egzotyki morza kosztem oderwania zagadnień morskich od konkretnego etapu rozwoju społeczeństwa, od spraw dokonywających się przemian społecznych, od walki klasowej.

Dotychczasowa twórczość marynistyczna separowała się od właściwej bazy ekonomicznej społeczeństwa, stwarzała sztuczny i abstrakcyjny nimb morza, podkreślając jego „specyfikę” i odrębność. Na skutek tego sprawy morza i przymorza, oderwane od rzeczywistości, ukazywane były w krzywym zwierciadle fantastyki, egzotyki i sensacyjności.

2. Próby zastosowania w pisaniu metody realizmu socjalistycznego. Jakkolwiek próby te uwieńczone zostały różnymi wynikami, jednak zasadniczy przełom został dokonany.

3. Wprężenie się literatów Wybrzeża w ogólnonarodowy nurt walki

Zbigniew CZAJKOWSKI

U PROGU NOWEJ

o Plan Sześciolletni, o budowę socjalizmu, o pokój. W ten sposób został przerzucony pierwszy „trap” z burty okrętowej na nabrzeże — nastąpiło ściśle powiązanie problematyki morskiej z życiem i rozwojem narodu.

Na tle tych zasadniczych przemian w literaturze marynistycznej nowego etapu staje się zrozumiałe, dlaczego dotychczas sprawy morskie były dla ogółu społeczeństwa nieznanne.

Należy również przypuszczać, że tegoroczne pozycje nie są ostatnimi i że ukaże się w najbliższym czasie szereg nowych książek, które rozszerzą jeszcze skalę tematów, skalę, która wyróżniła się w powojennym dorobku literackim bolesnym zwężeniem. Wydaje się, że pierwsze pozycje, które ukazały się z wiosną 1952, nie będą osamotnione i parafrazując Zalewskiego można powiedzieć, że zdołają wiosną, wiosną nad Bałtykiem.

Mimo tego generalnego rozgrzeszenia dla literatów Wybrzeża, które ma stanowić coś w rodzaju „środką podniecającego” do dalszej, bardziej intensywnej twórczości warto byłoby zastanowić się, co spowodowało to nieco późne przebudzenie ośrodku literackiego na Wybrzeżu w stosunku do innych ośrodków w Polsce. Wydaje się, że jest to problem, który zasługuje na uwagę nie tylko dlatego, że dojrzwianie świadomości twórczej następowało na Wybrzeżu później, niż w innych dzielnicach Polski, lecz przede wszystkim dlatego, iż treść twórczości literackiej, która jest wykładnikiem zachodzących przemian i przebudowy struktury ekonomicznej, społecznej i kulturalnej, nie mogła znaleźć właściwego oparcia właśnie na swej bazie twórczej — na społeczności Wybrzeża. Stwierdzenie to należało by rozwinąć i uzasadnić. Nie należy też jego rozumieć w ten sposób, że społeczność Wybrzeża jest najmniej postępową w stosunku do ludności innych części Polski. Nie, tak nie jest. Przeczą temu osiągnięcia gospodarcze i społeczne na Wybrzeżu, przeczy temu zmiana stosunku ludzi do pracy, rosnący ruch współzawodnictwa i racjonalizatorstwa, przeczą temu ogromne przeobrażenia w organizacji i systemie żeglugi, pracy śluczni okrętowych i portów. Wszystkie te osiągnięcia nie były łatwe i dokonały się na drodze mozolnego czasu procesu ścierania się starych tradycji i rutyny z nowymi metodami pracy. Walka o nowy porządek społeczny na Wybrzeżu przybrała specjalny charakter. Wydaje się, że prowadzenie jej było i jest znacznie trudniejsze, niż na innych terenach. Złożyło się na to kilka elementów. Postaram się podać, moim zdaniem, istotniejsze, które wpłynęły na opóźnienie w przebudowie społecznej oraz psychicznej ludzi na Wybrzeżu.

1. Na Wybrzeżu stosunkowo później niż w całej Polsce nastąpiło pełne uświadomienie kluczowych gałęzi gospodarki, a przede wszystkim handlu morskiego i rybołówstwa. Niewątpliwie, czynnik ten odegrał też pewną rolę w zwolnieniu tempa przeobrażenia społeczeństwa.

2. Szybkość zachodzących przemian gospodarczych w wielu wypadkach wyprzedzała teorię. Szczególnie duże miało to znaczenie na odcinku planowania, gdzie teoria przez długi czas nie nadążała za rozwijającą się, zwłaszcza w okresie pierwszych lat Planu Sześciolletniego, praktyką. Dopiero zastosowanie nowych metod położyło kres temu mankamentowi.

Fakty te w pewnym sensie utrudniały proces krystalizacji właściwych jej form.

3. Duże znaczenie odegrał czynnik etnograficzny. Ludność Wybrzeża składa się zarówno z autochtonów — Gdańszczan i Kaszubów, jak również z elementów napływowych, niemal ze wszystkich części Polski. Pierwsze zetknięcie się z sobą różnych grup ludności nosiło charakter raczej ujemny. Nieufność ludności napły-

tych zmian uciepnieć, chyba, że zadzierzgnięty kontakt wydawców z autorami będzie mimo oddalenia nadal utrzymywany.

Próba pokazania produkcji morskiej w powieściach jest ciekawa. Materiały źródłowe są bogate, konfliktów, jak to starałem się wykazać na wstępie, dużo. Z tych względów jest uzasadnione, że specjalne zainteresowanie skupia się właśnie na tych pozycjach.

Jakkolwiek przeprowadzony przede mnie podział jest dość schematyczny, jednak wydaje mi się słusznym, aby omawianie poszczególnych pozycji przeprowadzić właśnie według tego podziału. Uwagi swoje ograniczę więc do typu powieści produkcyjno-morskich, czyli książek: Fenikowskiego „Zakręt Pięciu Gwizdków”, Bądkowskiego: „Kuter na strądzie” i Przewłockiej „Światło na maszcie”.

II.

ZACZNIJMY od powieści Fenikowskiego.

Jak wypadł jego „debiut” w powieści?

Zanim postaram się dać na to pytanie odpowiedź, chciałbym zastrzec z góry, że powieść Fenikowskiego jest pierwszą tego typu książką o Wybrzeżu. Wyjaśnienie to może w pewnym sensie tłumaczyć autora z niedociągnięć, jakkolwiek trzeba przyznać, że autor, pisząc swoją powieść mógł wykorzystać głosy krytyki o innych powieściach produkcyjnych, które ukazały się w poprzednich latach. Przypuszczam, że Fenikowski znał opinię krytyki, znał niedociągnięcia tych powieści i w swej książce starał się je ominąć.

Treść książki jest niemal sensacyjna. Sensacyjność nie jest błędem, o ile znajduje się we właściwej proporcji do zasadniczych problemów książki. Tymczasem wydaje się, że w powieści Fenikowskiego proporcja ta została nieco skrzywiona. Sensacyjność przytłumia istotne zagadnienia, które schodzą na plan dalszy. Proces przełomu wewnętrznego bohatera powieści Pawła, nie jest przekonywujący. Paweł został ukazany przez autora jako człowiek bez kości politycznych. Wydarzenia ekonomiczne i polityczne w kraju nie interesują go. Jest raczej ciekawy, czy spełnią się przepowiednie, udzielone mu przed wyjazdem do Polski przez różnych „zycielnych” ludzi z granicy; przepowiednie o czekającym go zesłaniu i wywiezieniu na Syberię. Przyczyny powrotu Pawła do Polski są więc mgliste — możliwe, że właśnie przez to są prawdziwe, podobnie do wielu nieokreślonych bliżej przyczyn, które przywiodły z powrotem ku Polsce podobnych rozbitków. Dopiero splot różnych wydarzeń sprawia, że w Pawle dokonuje się zmiana i że wyraźnie opowiada się, po czyjej stoi stronie. Wśród tych właśnie wydarzeń, które zaważyły na przemianie duchowej bohatera, wydaje się, że decydujący wpływ mają przypadek i miłość, a nie zrozumienie sensu przeobrażeń społecznych w kraju. Fenikowski płyca w ten sposób ciekawy problem powieści.

Wypadek Pawła byłby znacznie ciekawszy, gdyby jego stosunek do rzeczywistości kształtował się na tle stosunku do całości wydarzeń, a nie tylko marginesowo, subiektywnie, sprowokowany perypetiami miłosnymi. Dlatego też czytelnik ma prawo wnioskować, że przemiana Pawła nie była głęboka, względnie, że autorowi nie udało się jej właściwie uzasadnić.

Fenikowski porusza w książce za dużo zagadnień, wpadając w podkreślaną ostatnio manierę tzw. wszytkoizmu. Ponieważ zmieszanie mnożstwa problemów w jednym tom

Reportaż znad Motławy

(Dokończenie ze str. 5)

growała dalej lub wymarła, a że na dobitkę ludność nie odróżniała ich od Niemców (podobieństwo języka, zwyczajów, typu fizycznego) więc też pole do tworzenia legendy i grabienia cudzych osiągnięć stało otworem dla nacjonalistycznych historyków niemieckich. Jak silny był jeszcze w początkach XIX wieku żywioł niderlandzki nad Motławą świadczy choćby charakterystyczny początek odezwy Jana Henryka Dąbrowskiego wydanej w okresie marszu na Gdańsk. Zwraca się on tam do „Holendrów, wszystkich rodu niemieckiego mieszkających w Polsce”. Nawiasem mówiąc: dzieje kolonizacji niderlandzkiej na ziemiach polskich czekają wciąż na swego historyka, który pisząc swą dzieło da jednocześnie mocną odprawę rewizjonistycznym pseudonaukowcom. Szkoda, że Wnuk to zagadnienie ominął.

O BOK rozdziałów poświęconych Gdańskowi zajmuje się też Wnuk okolicami miasta i to niekiedy dość odległymi, co książce wcale na dobre nie wychodzi. Bardzo ciekawy, ale nie reportaż tylko artykuł, o Żuławach opowiada o straszliwych zniszczeniach dokonanych przez cofających się hitlerowców. Wkrótce potem Schuhmacher wołał przez radio, że Polska nawet i za sto lat nie upora się z problemem żuławskim. A przedstawiciel Komisji Rolnictwa przy ONZ składał w roku 1945 raport, że odwodnienie Żuław, odbudowa wszystkich urządzeń wodno-melioracyjnych nie leży w możliwościach technicznych Polski. Na domiar złego w r. 1946 nawiedziła Żuławy plaga myszy, w katastrofalny sposób niszcząca zbiory na niezalanych terenach. A przecież chłop tamtejszy nie uląkł się ani wody, ani myszy, ani pleniących się jak w dżungli szuwarów. Wbrew opiniom zachodnich specjalistów i krzykaczy, Żuławy zostały odwodnione i zagospodarowane — sprawiła to zdecydowana wola władz państwowych, partii i całego społeczeństwa gdańskiego. I kiedy się czyta tę pełną szlachetnej emocji historię ratowania żuławskiej ziemi znów żal bierze, że Wnuk nie pokusił się o pokazanie tego wszystkiego z bliska, bezpośrednio, że nie odmalował tych ludzi, wydzierających morzu z uporem żyzną glebę.

Nader luźno związany jest z książką rozdział ostatni, zawierający wrażenia autora z odbywanych przez niego spacerów z czytelnikami w ramach akcji „Czytelnika”. „W kraju zamków i jezior”, tę garść wspomnień świadczących o rewolucji kulturalnej w naszym kraju, o odbiorze literatury wśród najszerzych mas,

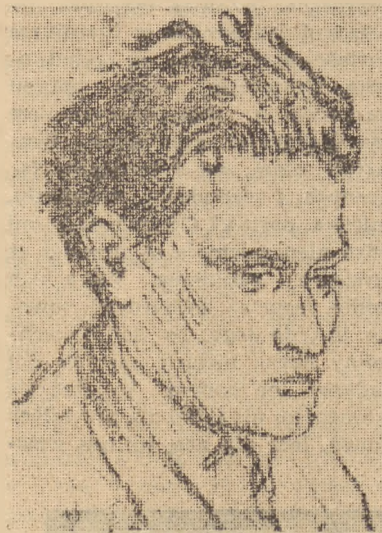
czyta się z uczuciem głębokiego zadowolenia i optymizmu. Jednak należało się spodziewać od autora obszerniejszego potraktowania problematyki kulturalnej. Sądzę, że słuszniej i pożyteczniej było by nie wybiegać aż nad mazurskie jeziora ale pozostać przy brzegach Motławy zająć się choć pokrótce zagadnieniami z dziedziny kulturalno-oświatowej. Gdańsk przecież posiada wyższe uczelnie, ośrodki naukowe, szkoły wszelkich typów i stopni, biblioteki, teatr itd.

I znów wracam do zarzutu, który w tej recenzji nawraca jak uporczywy refren: zbyt mało widoczne jest w relacji Wnuka, jak w zabytkowych murach starego miasta pulsuje nowa treść. Wydaje mi się, że bez względu na konieczność ograniczania liczby omawianych zagadnień, powinno się było znaleźć miejsce w „Wiosnie nad Motławą” na obszerniejsze zajęcie się Gdańskiem jako portem, na krótkie choćby nakreślenie jego znaczenia dla gospodarki narodowej, na wyjaśnienie założenia i zasadniczych problemów „trójmiasta” i szeregu innych spraw, które niepotrzebnie zostały przesłonięte przez fasady barokowych kamieniczek.

Książka Włodzimierza Wnuka budzi wymienione tu zastrzeżenia, co jednak w niczym nie umniejsza jej pionierskiej wartości, ani nie wpływa na ocenę rzetelnej pracy autora, włożonej w poszczególne rozdziały, które czyta się z nieustającym zainteresowaniem i, co ważniejsze, z trwałą korzyścią. Rozległy materiał należący do różnorodnych dziedzin, od architektury poprzez budowę rudowęglowców po archeologię, potrafił Wnuk podać w formie żywej i mieniącej się, przycygnając się do popularyzacji poruszanych zagadnień. Język prosty, unikający fachowych zwrotów i terminów, nawet w partiach dość pod tym względem kuszących i wartki na ogół tok narracji czynią z „Wiosny” nader przyjemną lekturę. Niekiedy tylko zdarza się Wnukowi wpadać w rażący patos, w przesadny barok maturalnych wypracowań. Toteż należy życzyć autorowi by na przyszłość unikał kwiecistych zwrotów w rodzaju „hold dla króla Ducha wybuchnął z piersi naucecyela niczym wulkan gorejąca lawa”.

Książka wydana bardzo starannie i ozdobiona doskonałymi zdjęciami (kapitałna fotografia „otwierająca”). Niestety przyczyniło się do tego tylu artystów fotografików, że nazwisk ich wszystkich wymienić tu nie sposób — pozostaje więc tylko wyrazić im ogólne uznanie.

J. A. Górski



Franciszek Fenikowski

wowej do autochtonicznej i vice versa stała się przez długi okres czasu ogniskiem nieporozumień, tarć i rywalizacji.

PIERWSZYM powieściom i nowelom marynistycznym, które ukazały się w latach powojennych, nie można przypisać pozytywnej roli. Problematyka w nich poruszana z przyczyn, które podawałem powyżej, a może też i innych, odbiegała wyraźnie od współczesnego nurtu życia. Czytelnik nie otrzymywał odpowiedzi na zasadnicze kwestie, które go interesowały i których rozwoju był świadkiem. Po prostu, życie szło swoim torem, twórczość marynistyczna swoim.

Najbardziej oblecujące w tym okresie nowele marynistyczne Jana Papugi wydane w książce pt. „Szczury morskie” wydają się ogromnie odległe tematycznie, patetyczne, niezrozumiałe...

Z tych względów należy powitać z wielką radością budzenie się nowej marynistyki. Niewątpliwie, że wydane pozycje nie są pracami skończonymi i doskonałymi, wykazują jeszcze sporo błędów formalnych i ideologicznych, jednak zasługują na uwagę zwłaszcza, że postawiły sobie ambitne zadanie uporządkowania wszystkich tych problemów, które cierpliwie czekały na pióro pisarza.

Opublikowane pozycje nie są równe, różnią się formą jak też i tematyką. Pod względem formalnym można je podzielić na dwie części: powieści i reportaże; z powieści książka Łepkowskiego „Ludzie znad zatoki” tematem i czasem akcji różni się od trzech pozostałych, tzn. powieści Fenikowskiego, Bądkowskiego i Przewłockiej, które zaliczyć można do grupy tzw. „powieści produkcyjnych”. Ten typ książki staje się w literaturze polskiej coraz częstszy, skupia też na sobie specjalną uwagę krytyków, wywalcza i wypracowuje sobie odpowiednie formy. Powyższe powieści prócz „Paxowskiej” książki Łepkowskiego zostały wydane przez PPW Wydawnictwa Morskie w Gdańsku, które na marginesie swej akcji wydawniczej, obejmującej zasadniczo publikacje fachowe i popularyzatorskie zagadnień morskich, udzieliły miejsca również dla prozy pięknej. Reorganizacja Wydawnictw Morskich, polegająca na scaleniu ich z Wydawnictwami Komunikacyjnymi, gdzie figurują jako jeden z działów (Żegluga) i przeniesienie agend do Warszawy, napawa znów lekką obawą, że rozpoczęta akcja wydawnicza beletrystyki morskiej może na

MARYNISTYKI

wpływa na uproszczenie ich i łatwież, zarzut ten można by postawić i autorowi „Zakreću Pięciu Gwizdeków”.

Czego nie znajdujemy w jego książce! Jest mowa o wspólnym wysiłku robotników i inżynierów nad budową pierwszego, pełnomorskiego statku, o akcji sabotażowej, której ofiarą miał paść polski rudogłowiec, o Gdańszczanach i obronie Poczty Polskiej w 1939 roku, o akcji kulturalno - oświatowej, o racjonalizatorstwie i budowie kamieniczek przy ulicy Ogarnej.

Niewątpliwie, wszystkie te zagadnienia wiążą się w sposób więcej lub mniej luźno z akcją, ale metoda ich ukazywania jest nieco sztuczna. Wygląda to tak, jakby na scenie rozgrywał się festiwal Gdańska i postacie, symbolizujące poszczególne fragmenty odbudowy miasta i jego życia wypychane były siłą przed widownię. Po wypowiedzeniu swej roli cofa się je za kulisy a wysuwa nowe i tak dalej, tak dalej...

Razi też w książce technika czarno-biała w podziale typów na dodatnie i ujemne. To zubożenie i uproszczenie charakterystyki postaci świadczy o braku inwencji ze strony autora w zadawaniu sobie trudu ukazywania procesu przemian wewnętrznych, zachodzących w walce o nowego człowieka.

Są to najważniejsze bodaj minusy książki. Wydaje się jednak, że nie zdolają osłabić one walorów tego debiutu.

Przede wszystkim urzeka język powieści, ładny, prosty, potoczny, znamionujący pióro dobrego polonisty — estety w doborze słów, oszczędny w używaniu przenośni i porównań. Książkę czyta się lekko, akcja nie nuży, czytelników znających port gdański przyciągają ciągle wzmianki o faktach, wydarzeniach, rzeczach, które są autentyczne. Holownik „Zbik” pływa po porcie gdańskim do dnia dzisiejszego, promem „Jan” jeszcze dziś przejeżdża się poprzez kanał z Nowego Portu do Wiśloujścia. Autentyzm powieści urzeka czytelnika, powoduje, że książkę czyta się z większym jeszcze zainteresowaniem, czytelnicy szukają nie tylko znajomych kościołów, budynków, ulic, ale szukają między ludźmi siebie. Fenikowski zbliżył swą powieścią Gdańsk, ukazał go wszystkim w jego prawdziwym obliczu — nieskoordynowanym, pełnym konfliktów, niezagojonych ran wojny. Port i morze nie są ukazane zza mgieł egzotyki, lecz są odmalowane realistycznie.

Książka Fenikowskiego jakkolwiek



Włodzimierz Wnuk

nie spełnia wielu jeszcze wymagań i trudno jest ją zaliczać do rzędu wybitnych osiągnięć powojennych, jednak stanowi na tym etapie twórcze i konieczne wypełnienie luki w polskiej literaturze.

III.

„Kuter na strądzie” Lecha Bądkowskiego jest także debiutem po-

wieściowym Autor, który zasadniczo zajmuje się dziennikarstwem i publicystyką ekonomiczno - morską spróbował swoich sił na polu prozy literackiej. Temat podjęty przez Bądkowskiego jest bardzo aktualny i istotny. Pamiętamy bowiem niedawną uchwałę Prezydium Rządu, przyznającą rybakom morskim cały szereg przywilejów i regulującą rozwój rybołówstwa morskiego. Zaniedbana w okresie międzywojennym dziedzina gospodarki narodowej ma obecnie szerokie możliwości rozwoju. Otaczane troskliwą opieką Polski Ludowej rybołówstwo morskie staje się ważną gałęzią produkcji. Droga do zrealizowania uchwał rządu, jak również droga do pełnego i skutecznego rozwoju rybołówstwa morskiego jest, jak zresztą i w innych dziedzinach naszej gospodarki, niełatwa. Świadczą o tym trudności w dotychczasowej pracy, prowadzonej nad uspołecznieniem rybołówstwa dalekomorskiego, walka o kolektywizację rybołówstwa przybrzeżnego, walka o nowy tabor, o nowe kadry rybackie. Są to istotne trudności, które przypominają początkowe trudności gospodarki socjalistycznej w rolnictwie.

Bądkowski pisząc „Kuter na strądzie” chciał ukazać walkę o nowe, socjalistyczne rybołówstwo morskie, walkę o nowego rybaka.

Bohaterem książki jest kolektyw spółdzielni rybackiej w Górkach Wschodnich — wytrawny, doświadczony szyper Boszka, mógł i kierownik załogi, stary rybak Barlasz, chwiejny jeszcze w swych przekonaniach, młody i energiczny Piper i praktykant, ex-marynarz Szew. Podczas jednego ze sztormów kuter ich WSG 15 tonie u wybrzeży polskich, załoga zaś z trudem ratuje się od śmierci. Strata kutra poważnie osłabia spółdzielnię. Między rybakami powstaje wówczas spór, czy wydobyć zagrzebany w mule u wybrzeża kuter i starać się o jego uruchomienie, czy też zrezygnować z trudnej walki i podjąć pieniądze w Powszechnym Zakładzie Ubezpieczeń Wzajemnych, za które można by ewentualnie kupić nowy, inny kuter. Drugie wyjście jest o tyle nieistotne, że na całym Wybrzeżu w tym czasie trudno było wynaleźć odpowiedni obiekt do kupna, gdyż sezon rybacki był za pasem i wszyscy rybacy przygotowawali się do kampanii. Fakt straty kutra, osłabienia spółdzielni i niezdecydowania rybaków stara się wykorzystać spekulant i handlarz rybami, Zajda, który trudni się skupowaniem ryby od rybaków płacąc przy tym ceny, narzucające przez siebie i oszukując przy zawieranych transakcjach. Z powodu osłabienia spółdzielni wzrasta wpływ spekulanta, dlatego więc Zajda stara się za wszelką cenę odwieść rybaków od zamiaru wydobycia kutra. Mimo jego rozwiniętej na szeroką skalę kampanii, rybacy nie cofają się przed trudnym przedsięwzięciem. Gospodarskim sposobem, sami wydobywają kuter i pokonując wiele trudności a nawet udaremniając akcję sabotażową Zajdy przywracają uspołecznionej gospodarce morskiej utraconą wydawało by się, jednostkę. W pracy tej dzielnie sekunduje młoda rybaczką, Jadwiga, córka Barlasza a narzeczona Pipera, która dodając własnym przykładem zapału walczy przyczyniła się do odzyskania kutra.

Fabula powieści jest nieskomplikowana. Autor prostymi środkami zawiązuje konflikt i konsekwentnie prowadzi akcję aż do ostatnich rozdziałów, gdzie następuje rozładowanie. Kompozycyjnie książka jest poprawna, żywa akcja trzyma czytelnika w napięciu. Mimo to nie udało się Bądkowskiemu uniknąć paru potknięć.

Trudno bowiem wyobrazić sobie, aby w roku 1948, czyli już po ugrun-

towaniu się władzy ludowej mógł typ podobny do Zajdy „władać” spokojnie na Wybrzeżu. Zasięg wpływów Zajdy, jak wynika z książki, jest bardzo rozległy. Pieniędźmi, stosunkami, groźbą — zapewnia sobie Zajda uległość i postuch. W tym ukazaniu Zajdy, podobnego do małego, na skalę Górek Wschodnich, dyktatora, jest nieco przesady, zwłaszcza, że wiemy, iż w Górkach Wschodnich działają normalnie władze administracyjne. Sprawa Zajdy kwa-



Irena Przewłocka

likowała się do sądu, podczas gdy z powieści wygląda na to, jakby walka z nim stanowiła integralną, konieczną część życia rybaków, którzy nienawidząc Zajdy odczuwają lęk przed... pozbyciem się go z osady. Na tym tle błąd i nieprzekonujące wygląda udział czynników oficjalnych w organizowaniu życia gospodarczego i społecznego.

Deklaratywność przejawia się i w wypowiedziach członków Spółdzielni. Np. następnego dnia po sztormie, utonięciu kutra i ocaleniu się rybaków powstaje między nimi spór — czy wydobywać kuter, czy też machnąć nań ręką. Spór toczą ludzie, którzy parę godzin temu wyszli z morskiej kąpielii, są głodni, umorusani od dymu ziemianki, zrozpaczeni wypadkiem i dlatego podenerwowani. I wtedy jeden z nich, Szew, jako argument za wydobyciem kutra wypowiedział takie oto zdanie:

„Teraz pozostał w Spółdzielni już tylko jeden kuter i trzy łodzie. Ryby potrzebą coraz więcej, bo mięsa mamy w kraju mało. Plan trzyletni przewiduje, że w przyszłym roku mamy złowić 60.000 ton ryby”.

Altruizm, pamięć i bystrość Szewa rozbijają czytelnika. Mimo całego szacunku dla planu i jego liczb wydaje się wątpliwe, czy nawet sam szef planowania potrafił by po takiej eskapadzie, jaką przeżył Szew, sypać tak okrągłymi cytatami i liczbami.

Inny kwiatek z tej łąki i z tej samej rozmowy:

„Czytałem w Dzienniku Bałtyckim — wtrącił Szew — że dorsz na prawie taką samą wartość odżywczą jak wołowina. Mięsa mamy w Polsce wciąż jeszcze za mało, bo ludzie teraz więcej go jedzą, niż przed wojną, dlatego tej ryby trzeba ciągle więcej”. (str. 20).

Doprawdy, ten Szew, to chodzący almanach. Ciekawe, czy po każdym przeżytym sztormie podobne frazesy przychodzą mu do głowy.

Daje się również w wielu miejscach zauważyć wpływ publicystyki na styl autora. Np. trudno jest zgodzić się z takim opisem wydmy: (str. 84).

„Nagie wydmy poprzybierały się koronkową ornamentacją z piasku, która powstała na ich pofalowanych ścianach w wyniku współdziałania mrozu i wiatru”. Pisarz nie powinien łączyć z sobą tak bezceremonialnie zwrotów publicystycznych — „w wyniku współdziałania” — z przenośnią literacką — „koronkowa ornamentacja”.

Mimo tych niedociągnięć, które,

mam wrażenie, łatwo będzie Bądkowskiemu zważyć w następnej powieści książka jest ciekawa i pozwala żywić nadzieję na dalszy rozwój marynistycznego piarstwa Bądkowskiego.

IV.

POWIEŚĆ Ireny Przewłockiej: „Światło na maszcie” nie jest debiutem. Od autorki „Miasto w ogniu” i „Serce na trapie” należy wymagać więcej niż od debiutantów, dlatego więc i ocena powieści powinna być surowsza. Przewłocka wykorzystując udzielone jej stypendium literackie odbyła podróż morską statkiem m/o „Lewant” z Gdyni na morze Śródziemne do portów Izraela i Istambułu. W wyniku wrażeń z podróży napisała cykl reportaży, które drukowane były we fragmentach w niektórych pismach oraz powieść o życiu załogi. Plon rejsu jest, jak widać, dość obfity i o ile wiem, jeszcze niekompletny. Jest to dowodem, jak dalece jest korzystny dla twórcy żywy i bezpośredni kontakt ze środowiskiem, o którym zamierza pisać.

Akcja powieści Przewłockiej rozgrywa się na statku Polskiej Marynarki Handlowej, m/o „Wola”, który odbywa długą podróż z Gdyni do Lewantu. Szlak rejsu pokrywa się mniej więcej z kursem, odbyty przez autorkę. Skojarzenie to nasuwało by początkowo sugestię, że powieść będzie czymś w rodzaju udramatyzowanych wspomnień z podróży, czy rozwiniętego fabularnie dziennika. Jednak — nie. Książka nie ma wcale charakteru opisu od zewnątrz, opisu, dokonanego przez obserwatora, lecz jest opowieścią człowieka, który sam przeżył i przytrafił troski i radości załogi, wczuł się w zadania, stojące przed marynarzami, zrozumiał ich pracę i rolę. Bohaterem powieści jest więc cała załoga, złożona z ludzi bardzo zróżnicowanych, niejednorodnych. Załoga jest z sobą zupełnie niezgrana, niezżyta, bez jakiegokolwiek nawiązania. To niescementowanie załogi odbija się i na jej pracy, na niewykonywaniu planów, obojętności, braku zainteresowania, lekceważeniu. W czasie rejsu z inicjatywy Krystasiaka, Małkiewicza i oddanych im ludzi zaczyna rozgrywać się ciekawa, wydawało by się nierówna walka o nowego człowieka, o właściwy stosunek załogi do pracy. Początkowa mniejszość odnosi pełny triumf i staje się w końcu zdecydowaną większością.

Nawet w wypadku kapitana Mielickiego, którego przeobrażenia oczekuje sugestywnie czytelnik, został zachowany przez Przewłocką duży umiar. Powieść kończy się tym, że Mielicki wprawdzie zbliża się do załogi, zaczyna rozumieć źródło ich entuzjazmu w pracy ale trzeba będzie jeszcze wiele włożyć energii i odbyć z nim parę podobnych do ostatniego rejsów, aby ten reżyser przekonował się o słuszności socjalizmu i jego metod pracy.

W książce nie ma sensacyjności, która dotychczas tak dziwnie przyklejała się do marynistycznych pozycji. Sensacyjność została zastąpiona walką o plan, walką o zwiększenie wydajności pracy, walką o człowieka. Wydaje się, że autorka poszła słuszną drogą wielkich marynistów świata — dla których największą sensacją była właśnie walka, rozgrywająca się w duszy człowieka morza.

Ciekawie i oryginalnie opisuje Przewłocka narodziny pomysłu racjonalizatorskiego na statku. Spółób, w jaki to zostało ukazane przez autorkę świadczy nie tylko o talentcie ale również o pracowitości Przewłockiej, jej dużej zdolności obserwacji i interpretacji tak niewdzięcznych do opisu scen, jak funkcjonowania i działania maszyn, systemu ogrzewania na statku, oliwienia.

Jak widać walorów „Światło na maszcie” posiada dużo, może nawet więcej niż wypada o tym pisać w recenzji, co do której zastrzegam się, że będzie surowa. Nie świadczy

to bynajmniej o tym, że nie ma w książce Przewłockiej błędów.

Powieść mimo podkreślanych przeze mnie plusów czyta się ciężko. Jest to t. zw. książka trudna, którą czytelnik przyswaja sobie powoli. Zastanawiające jest, dlaczego się tak dzieje. Dopiero po gruntowniejszym przewertowaniu książki można odkryć przyczynę. Proces narastania nowej świadomości jest rozłożony na wielu ludzi. Autorka, chcąc skrupulatnie wywiązać się ze swego zadania, starała się nie ominąć nikogo — stąd powstały dłuższy, rozbudowany opis akcji zbytnie wielką ilością typów. Sądzę, że zachowując oryginalną cechę utworu — zbiorowego bohatera, załogę — proces przemiany tego niewdzięcznego ilościowo bohatera można było ukazać pomijając szeregi osób i scen, po prostu należało by dokonać cięcia książki, skrótu, usunąć partie mniej istotne, zastosować metodę reprezentacyjną, która polega na wyborze z większej całości pewnej typowej grupy i na tle przeprowadzonego doświadczenia z tą grupą należało by zakwalifikować odpowiednio całość.

Walorem książki jest utrzymanie się tematu, ale czy należy przez to rozumieć kurczowe trzymanie się procesów produkcji i tylko procesów produkcji? Wydaje mi się, że nie, chociażby to była nawet powieść par excellence produkcyjna. Przewłocka popełnia właśnie ten błąd. A przecież marynarze na pewno podczas podróży nie mówią tylko i wyłącznie o statku, planie, ładunku i sztutowaniu towarów. Marynarze posiadają swe życie prywatne, troski i radości, ambicje i marzenia, które w dużym stopniu rzutują się na ich pracę i świadomość. Brak tego drugiego obrazu wpływa niewątpliwie na obniżenie zainteresowania fabułą, która przez swą jednostronność staje się nudna.

Braki te można i należy usunąć w następnych powieściach.

V.

W ZAKOŃCZENIU powinno się zwykle podsumować wyniki rozważań i wysnuć odpowiednie wnioski. Jednak tego nie będę czynił. Wydaje mi się, że nowy rozdział marynistyki, a raczej rozdział nowej



Lech Bądkowski

marynistyki nie jest jeszcze zamknięty, jest jeszcze w stanie opracowywania i tworzenia się. Na usiłowanie dokonania jakiegokolwiek syntezy jest jeszcze za wcześnie, nie za wcześnie jest jednak na omawianie opublikowanych pozycji. Ogólna dyskusja na ten temat stanie się drogowskazem dla następnych twórców, którzy opracowują i rozszerzają rozdział polskiej marynistyki.

Możliwe, że poruszone przeze mnie problemy nie są jedynymi problemami omawianych pozycji. Sam jestem przekonany, że jest ich więcej, jednak wybrałem najbardziej typowe i charakterystyczne. Wydaje mi się, że na żywym przykładzie przy ukazywaniu jej plusów i niedociągnięć pomaga następnym twórcom rewidować swoje osiągnięcia jak również kształtuje ich świadomość piarską. Marynistyka polska dopiero się rodzi, dlatego też musimy starać się o właściwe kierowanie jej rozwojem.

Zbigniew Czajkowski

Jan POGORSKI

AZJATYCKIE PRZEMIANY (VIII*)

Co się dzieje w Burmie

„W żadnym innym kraju Dalekiego Wschodu sytuacja polityczna nie uległa w ciągu ostatnich lat tak zasadniczym zmianom jak właśnie w Burmie, a to dlatego, że żaden kraj — nie wyłączając na wet Chin — nie ucierpiał tyle podczas wojny z Japonią” — pisał uczonego angielskiego George W. Keeton w swoim wyczerpującym dziele „China, the Far-East and the Future” („Chiny, Daleki Wschód i Przyszłość”).

Przyznać należy, że „polityczne zmiany”, zwłaszcza z punktu widzenia angielskiego profesora, są bardzo znaczne. Bo, ze zwykłej kolonii korony brytyjskiej, Burma stała się, w ciągu niespełna paru lat, niepodległym i suwerennym państwem oraz pięćdziesiątym ósmym członkiem Narodów Zjednoczonych. Ponad 260 tysięcy kilometrów kwadratowych puszczy, lasów dziewiczych, niezbadanych gór, ale i żyznych pól ryżowych, plantacji żywnych, tytoniu, kopalni srebra, bawełny, ropy, drogich kamieni, prawie dwadzieścia milionów ludności, kilkanaście bogatych miast — wszystko to definitywnie odpadło od Imperium Brytyjskiego. W doł Imperium Indochińskiego. W doł Bengal i Assam, na wschód od cełnem Indijskim, na wschód od Birmy i Assamu, rozdzielił się nowy naród, który przybrał nazwę Unii Burmańskiej. Rozdzielił się w mękach i głodzie, wśród walk i zamieszek, krwawych rozgrywek wewnętrzno-politycznych, nędzy, w chaosie gospodarczym i religijnym. Oto spuścizna dwóch imperializmów: angielskiego i japońskiego. Lecz już czyż ha na Burmę imperializm trzeci, chciwie zagląający z sąsiedniego Sjamu czy z dalekiej Formozy...

BURMĘ anektowali Anglicy w 1835 i przyłączyli ją do Indii za czasów rządów wicekróla, markiza Dufferina. Aż do 1931 roku Burma była po prostu prowincją Cesarstwa Indii. Wówczas Colonial Office wydzielił kraj ten i pozwolono mu mieć własny, operacyjny rząd. Bardziej uświadomione elementy w Rangunie i Mandalay spodziewały się z czasem uzyskać od Korony Brytyjskiej statut Dominium, jeśli nie zupełną niepodległość.

Skończyło się jednak na nadziejach. Kiedy bowiem, wobec groźby, w 1941 r. inwazji japońskiej, preangielski premier U.Sau udał się do Londynu dla uzyskania koncesji do Londynu dla uzyskania koncesji obywatelstwa, po wojnie Burmy na Dominium, rząd Wielkiej Brytanii nie tylko odmówił temu żądaniu ale kazał aresztować premiera U.Sau. Zesłał go na trzy lata do centralnej Afryki w okolice Ugandy.

Błyskawiczne uderzenie japońskie szybko odrzuciło wojska brytyjskie aż na granice Indii. Cała Burma znalazła się pod władzą Nipponu. Rząd w Tokio ogłosił „niepodległość” Burmy, specjalny ambasador burmański został mianowany i wyjechał do Tokio. Ministrem Obrony Narodowej w utworzonym przez Japończyków nowym rządzie Burmy został generał Aung San.

Ten młody człowiek (ur. 1914) odegrał ogromną rolę w polityce burmańskiej ostatnich paru lat. Od najwcześniejszych lat brał udział w ruchach narodo-wyzwoleńczych skierowanych przeciwko władzy angielskiej. Wydalony z uniwersytetu w Rangunie, w 1936 r., nawiązał kontakty z Nehru i innymi członkami Stronnictwa Kongresu w Indiach. Po za-

jęciu kraju przez Japończyków zapragnął wyzyskać ten moment dla stworzenia regularnej armii burmańskiej. Rychło jednak przekonał się o rzeczywistych zamiarach kilku wojskowej rządzącej w Tokio i, korzystając ze swego oficjalnego stanowiska ją wspomagać antyjapoński ruch oporu, który pod wodzą Antyfaszystowskiej Ludowej Ligi Wolności ogarniał cały podbity kraj.

W chwili kapitulacji Japonii, generał Aung-San stał już na czele wspomnianej Ligi, a wojska jego walczyły przyczyniły się do całkowitego oswojenia Burmy, współdziałając z 14-tą Armią brytyjską Mountbattena.

Wówczas to zjechał do Rangun brytyjski gubernator Sir Reginald Dorman-Smith. Rząd brytyjski w specjalnej „Białej Księdze” oświadczył, że „celem polityki brytyjskiej w Burmie jest doprowadzenie tego kraju do takiego stanu,

najszybciej ewakuowane z terytorium Burmy.

5) Terytoria zamieszkałe przez plemiona koczownicze i inne, a które obecnie znajdują się pod zarządem gubernatora powinny zostać przyłączone do Burmy.

Równocześnie jednak prawicowe kierownictwo Ligi przeforsowało niesłychanie niebezpieczną i nieobliczalną w skutkach uchwałę: komunistów usunęli z Rady Wykonawczej i Centralnego Komitetu Ligi.

Wprawdzie w roku 1947 ówczesny premier Attlee oświadczył w Izbie Gmin że „nie chcemy zatrzymywać w ramach naszego Imperium narodów, które by nie miały na to ochoty. Jesteśmy jednak pewni, że w interesie Burmy leży pozostanie wewnątrz Brytyjskiej Wspólnoty Narodów”. Ostrożny premier nie dopowiedział, że leżało to przede wszystkim w interesie Wielkiej Brytanii a zwłaszcza kilku

na 17 milionów ludności ponad 12 milionów analfabetów. Jedyny istniejący uniwersytet w Rangunie przeznaczony był dla synów bogatych kupców i urzędników burmańskich.

Ale w ciągu czterech lat wojny kraj doprowadzony został do całkowitej ruiny. Czego nie zdążyły zniszczyć cofające się wojska brytyjskie to wywieźli Japończycy. W czasach pokojowych Burma produkowała ponad siedem milionów ton ryżu, z czego połowa przeznaczona była na eksport, głównie do Indii. Po wojnie obszar uprawny zmniejszył się drastycznie, a produkcja nie wystarcza na wet na pokrycie zapotrzebowania wewnętrznych. Mosty i drogi zostały po większej części zniszczone, co zwłaszcza w górzyskiej części kraju, doprowadziło do odcięcia całych prowincji.

W zachodniej i środkowej części kraju, gdzie Burmańska Partia Komunistyczna posiada najsilniejsze wpływy, organizują się powoli samorządy gminne oparte na radach narodowych. Specjalna straż t.zw. „Wielka Milicja Ludowa” czuwa nad bezpieczeństwem mieszkańców i ich zbiorów. Natomiast na terytoriach, na których teoretycznie sprawuje kontrolę rząd centralny grasują niezliczone bandy zbrojnych t.zw. „dakaitów” uniemożliwiając jakkolwiek normalną uprawę roli.

Wreszcie w terytoriach nadgranicznych oraz na obszarach zamieszkałych przez mniejszości narodowe, Karenów, Chinów i Kaszynów rozpoczął się silny ruch niepodległościowy, skierowany, tym razem przeciwko centralnemu rządowi w Rangunie.

Rząd premiera Takim-Nu nie posiada prawie żadnej kontroli nad przeważną częścią Burmy. Praktycznie biorąc, obszary dwukrotnie większe od terytorium Polski są zdane na zupełną anarchię. Cóż mówić dopiero o północnej części kraju, o górach porośniętych dzunglą, gdzie między Tybetem a chińską prowincją Junnan, krainie słabo zaludnionej, niedostatecznie zbadanej! Nikt — łącznie z rządem dostojnego Takim-Nu — nie ma pojęcia co się tam obecnie dzieje.

Ostatnio jednak zaczynają napływać pewne wiadomości o sytuacji w burmańskiej prowincji Kentung położonej między rzekami Mekong a Salwin, graniczącej ze z Indochinami francuskimi i chińskim Junnanem. Wiadomości te — rzecz najdziwniejsza — przychodzą via Formoza. Albowiem okazuje się, że w prowincji Kentung działa od trzech prawie lat kilkudziesięciotysięczna armia nacjonalistyczna, pozostająca pod rozkazami Czang Kai-szeka i posiadająca łączność z Formozą.

TRZY lata temu zwycięska ofensywa Chińskiej Armii Ludowej zmusiła resztki pobitych armii Kuomintangu do szukania ucieczki poza granice Chin. Część z nich przekroczyła granicę Burmy. Ale — dziwna rzecz — o tych kilkanaście tysięcy niedobitków, zamiast rozproszyć się po kraju, złożył broń i został bądź internowanymi, bądź odesłanymi do ojczyzny, pozostało na miejscu. Ba, w ciągu tych trzech lat liczba tych żołnierzy dziwnie się rozmnożyła i sięga, jak podają za zachodnio-europejskie pisma ponad 30.000 dobrze uzbrojonych i zapatrzonych ludzi.

Niedyskrecje niektórych dzienników brytyjskich i francuskich pozwoliły światowej opinii publicznej na zorientowanie się jakimi

drogami dociera do tych niedobitków sprzęt, posiłki w ludziach i materiale wojennym, żywność i zaopatrzenie. Okazało się również komu zależy na wywoływaniu niepokoju na granicy Chin Ludowych, na utrzymywaniu sił zbrojnych w tej części Azji stanowiących poważną groźbę dla pokoju.

Otóż istnieje ni mniej ni więcej tylko rodzaj „mostu powietrznego” między Formozą a lotniskiem w Myitkina w północnej Burmie oraz szeregiem lotnisk położonych wzdłuż granicy chińskiej, a wydobywanych jeszcze przez partyzantów burmańskich i chińskich podczas wojny z Japonią. Na trasie owego „mostu powietrznego” o długości przeszło dwóch tysięcy kilometrów kursują stare amerykańskie „latające fortece”, obsługiwane przez pilotów „prywatnych”. Poważna część sprzętu wysyłana jest z Formozy do któregoś z mniej znacznych portów sjańskich i następnie drogą lądową dociera na miejsce przeznaczenia. Nie należy zapominać, że Sjam jest pod względem politycznym, finansowym i wojskowym oparty w poważnym stopniu przez USA.

Wedle ostatnich wiadomości z Formozy, sam głównodowodzący tymi siłami, generał Li-Mi, przebywa w Mongsat i od czasu do czasu udaje się na „konferencje wojskowe” do Taipeh, na Formozę.

Podczas ostatniej sesji Narodów Zjednoczonych, delegat Burmy z naciskiem żądał, by przedsięwzięto jakieś odpowiednie środki dla zahamowania rozwoju tej, ze wszech miar niebezpiecznej sytuacji. Delegat radziecki, Jakub Malik odczytał nawet listę wyższych oficerów amerykańskich, którzy szkolą i ćwiczą wojska nacjonalistyczne w północno-wschodniej części Burmy. Delegaci Stanów Zjednoczonych zdementowali wszelkie wiadomości jakoby ich oficerowie mieli cokolwiek wspólnego z armią generała Li-Mi. Delegacje Francji i Wielkiej Brytanii skwapliwie poparły ich stanowisko. A tymczasem francuski tygodnik „La Tribune des Nations” donosi z Formozy, że amerykański generał Chase przeprowadził niedawno inspekcję oddziałów Kuomintangu, które w sile 70.000 ludzi mają być niezwłocznie wysłane do Burmy poprzez terytorium Sjamu.

Równocześnie korespondent angielski M. Davidson donosi w dzienniku „Observer”, że na granicy Sjamu i Burmy panuje ożywiona działalność handlowa. Mianowicie ze Sjamu płyną dla wojsk generała Li-Mi rozmaite części uzbrojenia oraz amunicja, a wojska nacjonalistyczne dostarczają w zamian opium, które rabują w burmańskiej prowincji Szan, albo też nad granicą chińską. Pewna amerykańska firma z Bangkoeku zarabiała w bieżącym roku ponad 4 miliony dolarów na tych zyskownych operacjach.

Jasnym jest, że organizowanie oddziałów wojskowych gen. Li-Mi w Burmie nie może w żadnym razie poważnie zagrażać ani Chińskiej Armii Ludowej, ani nawet precyzyjnym rolnikom z prowincji Junnan. W każdym razie jednak istnienie i rozbudowywanie Kuomintangowskich oddziałów w tej okolicy Południowo-Wschodniej Azji stanowią jeszcze jeden dowód, że amerykańscy generałowie nie pogardzają żadnym środkiem by wywoływać zamieszki w krajach które wyzwoliły się z pod ich wpływów.

Jan Pogorski



aby mógł korzystać ze statutu dominialnego”. Burmańska Liga Antyfaszystowska uznała to cświadczenie za niewystarczające.

Dopiero, kiedy gubernator zastąpiony został dawnym urzędnikiem angielskim z Burmy (Sir Hubert Rance) zgodzili się przywódcy Ligi na wstąpienie do Rady Wykonawczej, która na razie spełniała funkcje rządu burmańskiego. W listopadzie 1946 Rada ta ogłosiła manifest w pięciu punktach, które uchodzą za pierwszy akt niepodległości Burmy:

1) Eksploatacja bogactw burmańskich przez obce towarzystwa nie może nadal mieć miejsca. Towarzystwa brytyjskie i zagraniczne winny być zastąpione przez burmańskie spółdzielnie i przedsiębiorstwa państwowe.

2) Przedstawiciele dyplomatyczni i konsularni Burmy winni zostać wysłani do ważniejszych stolic świata, a zwłaszcza do Nankinu, do Delhi i Bangoku.

3) Postanowienia brytyjskiego Aktu Burmańskiego z 1935 (Burma Act) winny być zniesione, tak by prawa obywateli burmańskich zostały dostatecznie zagwarantowane.

4) Obce wojska winny być jak

wielkich towarzystw eksploatujących naturalne bogactwa Burmy jak: „Anglo-Burmese Mining Co.”, „Burmese Trade Co. Ltd” i innych.

Wybory przeprowadzone w 1947 r. dały przynajmniej większość Lidze Antyfaszystowskiej. W opozycji znaleźli się prześladowani komuniści oraz mniejszości narodowe jak Karen i (w przeważającej ilości chrześcijanie) i przedstawiciele ludności nadgranicznej.

19 lipca 1947, kandydat na dyktatora młody generał Aung San został zamordowany wraz z kilkoma członkami gabinetu. Proces ujawnił spisek, do którego należał były premier U.Sau i przedstawiciele zamożnego mieszczaństwa. Ale polityka będąca u władzy Ligi Antyfaszystowskiej, pozostała niezmienną. Premierem i wodzem Ligi został Takim-Nu i pierwszego stycznia 1948 r. Burma została formalnie ogłoszona niepodległą republiką.

REZULTATY angielskich rządów w Burmie były bardzo podobne do skutków polityki wyzysku w sąsiednich Indiach. Z tą różnicą, że Burma jest o wiele mniej przeludniona i stosunkowo bogatsza w plody rolne i kopalniane. Toteż w 1940 roku liczono

*) Patrz „Dziś i Jutro” Nr. Nr. 42 303, 44 310, 48 314 z roku 1951 i 1 310, 6 324, 7 325, 9 327 z roku 1952.

Marek A. WASILEWSKI

SNOBY TEATRALNE

ULASYFIKACJA snobów teatralnych jest dość zawiła. Działają się oni na snobów zaczepnych i biernych, czyli odpornych, oraz na snobów teatralnych rzeczywiście i udających, czyli pozerów.

Pół biedy jest ze snobem biernym, któremu jego typ snobizmu nie pozwala na wszczęcie dyskusji. Taki milczy, nadyma się i... czeka. Dopiero, gdy ktoś nieświadomy niebezpieczeństwa poruszy niebezpieczną problematykę teatralną... zdechł pies! Jest to samo, co wytrącić w górach mały kamyczek podtrzymujący dwa większe. Rzecz w tym, że na tych dwóch większych opierały się cztery jeszcze większe. I tak dalej. Skutek jednego kopnięcia: lawina zasypuje nie tylko tego, który kopnął mały kamyczek, ale śledzący osiedli i pięć miast, z których jedno z kolejką linową i oddziałem Towarzystwa Krajoznawczego. Snob czeka tylko na „poruszenie kamyczka”, poczym



rozprostowuje się nagle jak zwinięty grzechotnik i okazuje się w całej krasie. Zaskoczeni dyskutanci cichną niby przykręcane radiodiodbiorniki i powoli narasta jeden tylko głos: potężny, dufny w swe słowa, nauczycielski, głos teatralnego snoba, który grzmi jak megafon przygłaszając wszystko i wszystkich. Snob naucza, wytycza, wskazuje, piętnuje, wypukla, podkreśla i rozwiązuje. On wie, co znaczy być aktorem przez duże A, on ma recepty na żyłkę reżyserską, on wyjaśnia co znaczy stworzyć kreację, on koryguje mankamenty dekoracji i odzwierciedla sprzeczności tkwiące pomiędzy epoką a spektaklem. Nie znaczy to, by nie chwalił. Owszem, chwali! Poklepuje po ramieniu, rozdziela głowy, uśmiechy, wyrazy uznania. Tej i owej aktorce przesyła „duchowe” kwiaty zachwyty w postaci ciepłych słów, jak: „umiejętnie”, „z odczuciem”, „oddala trafnie”, „wcieliła się”, „pojęła właściwie”. Ten i ów neslor sceny dostaje „medal” w postaci komplementu: „na poziomie”, „nie sprawił zawodu”, „uniknął szablonu” itd.

Snob rzeczywiście musi być znawcą. Na to, moi państwo, nie nie poradzić. A wytrawny snob teatralny jest przekonany, że być znawcą, a wyrocznią, to jedno.

Krytyka oficjalna?! Eóście się Bogu! Czyż człowiek inteligentny będzie powtarzał za krytyką jak za panią matką swoje osady w sprawach teatru? Nie! On (snob) ma swoje podejście. Indywidualne — nie zaprzecza — choć odcina się od indywidualizmu — jako takiego. Spytajcie go, zresztą, sami. Choćby był najskrajniejszym proletariuszem z urodzenia, stanie się w jednej chwili arystokratą wypowiedzi. Przemówi tonem wyższości tak naturalnej jego środowisku artystycznemu, jego umiejętnościom, jego teatralnej pasji...

— Pan lubi teatr?

— Lubie.

—No, to może pan się kiedyś na nim pozna. Ja też nie od razu wyrobiłem sobie smak teatralny. Nie trzeba się załamywać. Bywają pewne załamania, ale głowa do góry! To przechodzi tak niespodziewanie jak wysypka.

I czy nie czujesz się winny, mój przyjacielu? Wszakże to ty sam bawiłeś się butelką w pobliżu ognia, nie wiedząc, że szlachetne to skład inąd naczynie zawiera benzynę. Któż mógł wiedzieć, iż zahaczając o sprawy teatru wywołał żywo, całą energią snoba, która wierciła się w nim niespokojnie żądna uj-

ścia na światło dzienne? Niewinny prowokatorze, cóżes uczynił! Wkrąg, gdzie okiem sięgniesz pożoga i pożoga. Babcia Adela, wuj Hipolit i państwo Papsztyczkiewiczowie ślubowali sobie w duchu, że już nigdy nie zaczną w towarzysztwie mówić o teatrze. Taki wstyd! Ten młody smarkacz dał im bobu nie lada!

Wuj Hipolit nerwowo szuka zapalek. Na szczęście nikt ich nie ma. Może przeto wyjść do drugiego pokoju i zakląć pod nosem:

— Szczawik! Pęta! On mnie będzie uczył, mnie który byłem sześć razy z rządu na „Kościuszcze pod Raclawicami”!

Zapala papierosa i wraca. — A jak się pan zapatruje na współczesny teatr szwedzki? — usiłuje zemścić się na snobie.

Ale, gdzie tam! Snob zapatruje się. Wymienia szereg nazwisk, w których pięknie dźwięczy „ö” i „ü”. Wyrafinowany snob teatralny zapatruje się na wszystko. Wie nawet, że teatry w Upsali mogą konkurować ze Sztokholmskimi. Dobrze ci tak, wuju Hipolicie! Nic nie żałuję babci Adeli! Nie trzeba było zaczynać.

INACZEJ jest ze snobem zaczepnym. Snob zaczepny z miejsca rozpoczyna atak.

Jest jednostką aktywną, rzutką. Wie co mówi i po co się odzywa:

— Był pan na „Pygmalionie”?

— Byłem.

— No i co?

Trzy słowa, z czego jeden spójnik, a przecież... Nieszczęsny interlokutorze leżysz jak długi. Snob aktywny przeegzaminuje cię z miejsca, a wreszcie, gdy w rozpaczliwej rejturadzie zaczniesz cofać się aż w zamierzchłe wieki, gdy pełen rozpacz zacznieś lawirować pomiędzy rafami wiedzy teatralnej, jak szkuner bez pilota, na jednym bezlitosnym ruchem (języka) rzuci cię jak łachman do swych słóp:

— A „Sny pór roku” d'Annunzia, nic panu nie mówią?

Jakie sny? Owszem: „Sen nocy letniej” kiedyś w szkole i nie poza tym. Gwałtownie odczytujesz wszystko co tylko zachowałeś w pamięci z dziedziny snów: „Sen srebrnej (czy srebrny) Salomei”, „Sennik egipski”, „Sen o szpadzie i sen o chlebie”, „Sen-tencje: Aforyzmy”... nie to już nie to! Płaczesz się i przewracasz o własne skłębione myśli. O nieszczęsny d'Annunzio! Ohydny i złośliwy losie! Na domiar złego brunetka siedząca obok uśmiecha się tak ironicznie, jakby sama czytała d'Annunzia. Nie mów teraz, przyjacielu, że ci nie zależało na względach brunetki, ale cóż?! Czujesz jak rozbijasz kadłub swego domniemanego uroku o podwodne skały, na które wywiódł cię snob. A snob widzi, że jesteś groggy. Widzi i z całą świadomością nokautuje cię przy pomocy „Złotej kaczki” Ibsena, czy „Cezara i Kleopatry” Shawa. To i tak twoje szczęście. Walka jest krótka i prawie bezbolesna. Przegrałeś przez k. o. i masz prawo trzymać się tej nadziei, że dalszym tematera rozmowy mogą stać się owoce, polityka, czy wczesny Kicia Posagiewiczowa w aspekcie Jadzi Maziałkówny (kuzynki Pafolińskich).

Gorzej, gdy teatralny snob postanawia wygrać z tobą na punkty, gdy snobując się wobec pozostałego gremium będzie cię męczył wolno, z premedytacją, będzie cię obracał jak kołnierz na różnie, abyś się równomiernie rumienił ze wszystkich stron, będzie i ośmielzał wyciągać sprzeczne zdania i ośmielzał z nieubłaganą stanowczością, wyrafinowanego sadysty.

— Migdałska była zbyt naturalistyczna? Ależ, panie Włodzimierzu, niech pan da choć jeden przykład.

— See... scena przy... przy kamieniu.

— Pan żartuje! A cóż wobec tego znaczy dla pana interpretacja Kaszyckiej w „Tamburynie”?
Nic dla ciebie nie znaczy. Nic. Nie chcesz, aby usiłowała nawet zacząć coś znaczyć. Klniesz wszystkie „Tamburynie” i Kaszyckie. O niczym nie wiesz i nie chcesz wiedzieć. Jesteś gotów pragnąć bólu zęba. Boże, Boże! Czy snob jest też bliźnim? Niestety jest, a przynajmniej podszysza się pod niego tak umiejętnie, że nie wypadł jeszcze z tej roli.

AKTYWNY snob teatralny i bierny snob teatralny, któremu otworzyło się usta wargi są siebie. Jedyny ratunek dla przeciętnych śmiertelników, gdy napuścił się na siebie takich dwóch, niby dwie pantery na arenie Circus Maximus. Można odetchnąć! No, ale jeszcze nie pełną pierś. Jeśli tylko zważają się, jeśli poczują się swojcy klasowo w swym snobizmie, gotowi atakować wspólnie, z dwóch stron, we dwa ognie, jak w śledztwie, bez litości, bez oglądania się na wiek, pięć i stygnącą pieczeń wołową,

Tacy gotowi są na wszystko, gotowi spytać ciocię Leokadię, czy widziała prapremię „Chmur” Arystofanesa, gotowi pytać kuzynkę Teresę, czy woli „Zaby”, czy „Plaki”, i wymieniać znaczące spojrzenia, gdy ta odpowie im że uznaje kuchnię jarską. Snobizm dwóch snobów, snobizm natrętny i denerwujący nie eliminuje się najczęściej, a dodaje się i dwóch współzawodniczących w ataku snobów teatralnych, wartych jest tyle, ilu trzech wziętych indywidualnie.

Snob teatralny systemu „pozer” niczym w praktyce nie różni się od snoba rzeczywiście w akcji, prócz tego, że rzeczywiście mówi o tym co widział i o czym wie, a pozer o tym czego nie widział i o czym nie ma pojęcia. Efekt jest identyczny: gnębią tak samo. Jedyną pociechą w przypadku uaktywizowania się snoba-pozer, jedyną nadzieją i szansą na uzyskanie satysfakcji jest przychwylenie momentu, w którym nasz snob pomyli Plauta z Platonem, lub powie, że jeśli chodzi o Czecho- wa, to najlepszy jest „Dziadek od orzechów”, nie ze względów emocjonalnych, ale ze względów pragmatycznych, czy jakichś innych.

Snob teatralny traktuje teatr jako świątynię sztuki. On to pisze w prasie notatki na temat szeleszczenia pa pierkami, zaśmiecania widowni i marszu po palta przed ostatnim aktem. On to zachowuje się w teatrze w sposób tak dystyngowany, że zwraca uwagę nie tylko publiczności, lecz i bileterce. On właśnie nie pcha się do szatni, nie szeleści papierkami i nie chrupie wafli. On jest tym, któremu nie można niczego zarzucić, w teatrze. Zobaczcie go jednak po wyjściu z przybytku Melpomeny!

Ten sam wielbiciel etykiety teatralnej zaśmieci bez wątpienia z najczystszy smumieniem tatrzańskim rezerwat, jak i podmiejskie ustronie, on to będzie pestki od czeresni dyskretnie wrzucał pod krzesło... w kinie (Kino nie teatr, proszę panów!) On też będzie stukał i skrzyptał butami spóźniwszy się na koncert. Nie sposób przecież być takim skrzyżowaniem estety z ascetą wszędzie i przez całe życie! No, teatr, to co innego. Sami państwo rozumieją.

Mówiąc o snobach teatralnych, należy pamiętać, że snobem teatralnym jest nie tylko widz, ale i aktor. Przy czym snobizm aktora przewyższa w dwójnasób snobizm widza, aczkolwiek jest zgoła innej natury. Aktor jest człowiekiem określonej po-



zycji. Aktor to góra społeczna bez względu na ustrój, aktor to... szkoda mówić. Jasne, że na sam dźwięk jego nazwiska ożywa się znużone i zeszywniałe towarzystwo, jasne, że samo napomnienie o nim powoduje żywsze skurcze serca! dziesiątków pensjonarek, a jego pseudonim teatralny przywodzi na myśl najlepsze czasy rozkwitu i „prosperity” naszego teatru. To, że aktor chce być lubiany i popularny wśród publiczności nie jest jeszcze bynajmniej przejawem snobizmu. O, nie! Jest to prawo każdego aktora bez względu na jego snobizm. Natomiast aktor, który demonstruje swoje powodzenie przed kolegami, ubiega się o to powodzenie nie dlatego, by miało się ono stać dlań bodźcem do utrzymania, czy polepszenia jego formy aktorskiej, do głębszego opanowania zawodu, do pogłębienia roli i umocnienia wrażeń natury wruszeniowej, ale dlatego, by pokazać współkolegom kim jest on dla publiczności i jak potrafi z nią igrac, ten jest snobem. Takie bożyszcze tłumy szcze-

gólnie poluje na „klakę”. Wytrawny aktor-snob potrafi tak rozłożyć akcenty swego dialogu, tak ustawić gest, mimikę i tak zmaistrować swą partię sceniczną, że nie ma obawy iż publiczność nie będzie wiedziała co zrobić z rękami. Właśnie w tym a nie w innym miejscu nagrozi jego wirtuozerię oklaskami. A wtedy nasze bożyszcze tłumy jednym rzutem oka obejmuje swoich kolegów, jakby powiedział: — A widzicie! Jest! Klaszcie! A właściwie nie tyle klaszcie, co oklaskujcie.

JEST inny typ aktora-snoba polegający określonymi środkami na popularność. Typ ten częściej reprezentuje kobieta. Anna oświadcza zdecydowanie: — Nie. Nie mogę grać czarnych charakterów. Nie potrafię — to raz, a po drugie jest to dla mnie psychicznie tak odległe, że przy moim skromnym talencie w żadnym sposób nie podejmuję się objąć tak szerokiej skali ról. Rozpiętość pomiędzy czarującą Elizą, a zdrajczynią, jaką jest Zofia...

Trzele, morele! Anna wyobraża sobie, że grając ciemne typy straci popularność i wzięcie wśród widowni. Anna jest snobką o ptasim mózdzku, snobką, którą pomiata się w niniejszym rozdziale z całą rozmyślnością, aby napiętnować nie sam jej snobizm, ale jego bezdenne głupią formę, wychodzącą poza klasyczną konwencję starych, rutynowanych snobów ze wspaniałą tradycją. Aktor rozzający autografy in blanco jest zdecydowanym snobem. Nie będzie nim natomiast, jeśli ponad autografem wyrazi jakąś złotą myśl, czy też napisze szczerze i niedwuznacznie co myśli o wszelkich zbieraczach autografów. Oto kilka typów takich „złotych” myśli, które muszą poddać w wątpliwość snobizm aktorów:

— „I po cóż ci to?” — Aleksander Kalasiewicz Artysta Dramatyczny Państwowego Teatru w Makuchowie Górnym.

— „Pod przymusem zrobię wszystko. Nawet dam autograf”. — Taki to a taki.

— „Czegóż się nie zrobi za pięćdziesiąt złotych?” — B. Ciupczyk.

— „Wolę ci się dzieweczko wpisać do pamiętnika niżeli na blankiecie wekslowym”. — XX.

— „Zbieranie i dawanie autografów świadczy o ograniczonej inteligencji”. — Zasluzony mistrz sceny.

Przejdźmy z kolei do snobizmu personelu technicznego w teatrze. Snobizm jego jest snobizmem mądrym i uzasadnionym.

— Było to wtedy kiedy graliśmy „Damy i huzary” — odpowie nam sprzątaczką teatralną.

— Wtedy właśnie zrobiłem z niego prawdziwego „Otella” — powie charakteryzator.

— Nic też dziwnego, że mieliśmy taką kasę.

Graliśmy, robiliśmy, wystawialiśmy, mieliśmy kasę... To wszystko rozsądny snobizm świadczący o współodpowiedzialności i duchu szczerzego kolektywu przepajającego cały zespół teatru. Ten typ snobizmu, to jeden z alutów dobrego teatru. O ile, rzecz prosta, nie przyćmiewa go zrzucanie odpowiedzialności na innych przy braku sukcesów i przy niepowodzeniach.

Byby już może czas na jakieś konkluzje dotyczące snobizmu teatralnego, gdyby nie fakt, że nie sposób pominąć w tym rozdziale oficjalnych krytyków teatralnych, czyli supersnobów w dziedzinie teatru.

Krytyk jest o tyle groźny, jako zjawisko, że dano mu jest utrwalac swoje sądy na papierze drukarskim, o tyle zaś nieszkodliwy, że mając w garści jego elaborat, możemy się odeń w każdej chwili uwolnić, drąc gazetę w strzępy, lub wkładając ją do szuflady nie dokończony czytanym recenzji. Stanowi to bez kwestii walor prac krytyka teatralnego, nad którym w istocie panujemy całkowicie, o czym nie ma mowy w zetknięciu z rzeczywistym snobem agresywnym.

Ołóż i macie snobów teatralnych! Macie ich w całej okazałości. Przyjrzyjcie się im dokładnie i zobaczcie, że pod ich snobizmem kryje się nie innego, jak tylko człowiek ze wszystkimi swymi słabościami.

Patrzcie uważnie na snobów teatralnych, ale patrzcie z pobłażaniem. Nie zapominajcie, że różnica między snobem, a nie-snobem polega, między innymi, na tym, że snob uważa za bliźniego tylko drugiego snoba, podczas gdy nie-snob uważa za bliźnich wszystkich ludzi ze snobami włącznie. Olączymy tedy snobów teatralnych względem wyrozumiałości. Uczmy ich porządku w parkach i kinach, ale dajmy im gardłować na temat Schillera i Wyspiańskiego, bo tak Bogiem, a prawdą, to muszę wam powiedzieć, że na tych snobach stoi i będzie stał teatr.

Cóż poradzić, kiedy taki właśnie jest świat!

Marek Antoni Wasilewski

karli
SYLWETKI
i
zdarzeń

Cyprian Norwid

PEWNEGO letniego popołudnia, blisko zachodu słońca, gdy w pejzażu Paryża promienie tyle dostojństwa, które przywodzi na pamięć purpurowy pejzaż Rzymu szedł zamysłony od Champs Elysées, w górę na rue Chaillet i końcem laski odtrącał od stóp kamyczki. Ktoś bardziej od nas bystry (i bardziej powierzchowny) odgadłby w nim bez trudu niedawnego dandy, my jednak dokonaliśmy odkrycia, że w jego melancholijnym nicochędłóstwie i zaniedbaniu utulił się swoisty parabolizm: człowiek liryczny, zaledwie się obudził, już pragnie powrócić do snu. „Dusza zakłzta”, nazwał go pan Adam.

Drzwi dobrze znajome do „appartement” Fryderyka na rue Chaillet. Pokojówka, Francuzka, zapytana, czy zastał monsieur Chopin, odpowiada tonem właściwego pokojownika-Francuzkom spoufalenia, uśmiechniętego spoza życzliwości

— Il dort, dyga i zamyka mu drzwi przed nosem.

Później, pewnego ciepłego jesiennego popołudnia wybrał się niedawny dandy z orszaku kapryśnej pani Kalergis do Juliusza. Na rue Pontieu. Zachód płonął na szybach.

Na balkoniku, tuż, u okien czerwieniły się w doniczkach kwiaty i zapalczywie klóciły się wróble. Słowacki miał na sobie mocno podżyte palto i konfederatkę z amarantu, zsuniętą od niechcenia na tył głowy. Siedział przy obiedzie. Zjadł właśnie zupę i, sięgnąwszy po pięcioną pulardę, rozgadał się o bracie gościa, Ludwiku, „którego rzewnie kochał”, o Nieboskiej Zygmunta i Przedświacie który uważał za „piękne dzieciństwo”, o artystostwie i o Chopinie.

— Parę miesięcy temu — rzekł do niedawnego dandy — spotkałem tego moribunda.

Wzrok gościa oderwał się od ust zjadającego smaczno gospodarza i zbłąkał się na splowiały kobierzec ciemny wyżej łózka: o, jaka scena z historii Polaków. Święty Michale Archaniele, Pelska! Tam, czym chata bogata — zamiast odpraga częstować gawędą, poproszono by go do miłego rosolu i kury.

Wszak niesamowicie się wypościł za przyczyną przewlekłego braku pieniędzy.

Jeszcze później, pewnego ranka, zawdronał do Biblioteki Arsenalu i natknął się na pana Adama, we drzwiach mieszkania. Gwarzyli z półtorej godziny, Mickiewicz głównie o ostatnich chwilach żony, zgastłej przed dwoma tygodniami, rbił „małe zboczenie”, że „niewiadomość prawdy daje tylko przerażenie zgonu”. Na ulicy prawie krzyknął:

— No, adieu,

że zaś nigdy nie podnosił doń głosu, i nie żegnał go po francusku, zamysłony niedawny dandy, który z niedawnego dandy przemienił się w harciarza z chóru Derwida, Proka nowej w Polsce sztuki, długo będzie słyszał dziwny ów głos.

Długo.

Lata minę od śmierci pana Adama w dalekim Konstentynopolu, a w uszach wciąż będzie dźwięczało i dźwięcząco niezwykłe owe „adieu”.

Kali

Leszek Prorok

Przed pięciuset laty - na rynku



Włodzisław Ziemiński w roli Pathelina w Teatrze Młodego Widza w Poznaniu

Rys. J. Grzegorzewski

PIĘCSET lat temu bez mała frant-
adwokacina wyludził od kupca-
dusigrosza 6 łokci sukna, wykręca-
jąc się później od zapłaty mistrzow-
ską symulacją choroby i obłędu. O-
szustwo to, zaklecie w tęgą średnio-
wieczną farsę francuską „Maistre
Pierre Pathelin“, do dziś budzi szcze-
ry śmiech, a zarazem stawia pod prę-
gierz' wady ówczesnego mieszczań-
stwa.

Po niedawnym przedstawieniu
krakowskim „Krotofila o mistrzu
Pathelin“, w przekładzie Adama Po-
lewki, zawadzał o kolei na po-
znańską scenę. Przed analizą spek-
taklu warto poświęcić kilka słów
znaczeniu tej głośnej farsy.

Napisana ok. r. 1470 przez niezna-
nego autora przoduje w galerii śred-
nowiecznej farsy francuskiej, liczą-
cej ponad 150 pozycji. Farsa rozwija
się bujnie w XV w. obok tzw. mora-
litetów i „sotties“, jako par ex-

cellence mieszczański gatunek tea-
tralny. Z mieszczańskiego życia
czerpie tematy i sylwetki typowe dla
środowiska i epoki. Wolna od alego-
rycznego oblicza moralitetów, przy
pomocy prymitywnych nieraz środ-
ków scenicznych, sięga do wiernego
odbicia potocznej, aktualnej rzeczy-
wistości.

„Krotofila“ zawdzięcza wysoką
rangę sceniczną swej jednolitości.
Jedyny motyw, drobnego, jarmarcz-
nego oszustwa, w różnych odcieniach
i stopniowaniach u różnych osób,
wypełnia ją od początku do końca
i wystarcza, aby uruchomić dyna-
mikę akcji oraz wytrzymać tempo do
końca. Rysunek protagonistów, Pa-
thelina i sukiennika, składa się nadto
na ciętą, choć drugoplanową satyrę
przeciwko adwokatowi i stanowi
kupieckiemu. Był przeto Pathelin
ulubioną komedią przełomu fran-
cuskiego Średniowiecza i Renesansu,
a nawet czasów późniejszych. Do
roku 1600 doczekał się 25 nowych
wydań książkowych i licznych na-
śladownictw.

Tłumaczowi, pragnącemu zacho-
wać charakter i koloryt epoki, prze-
kład średnowiecznego utworu na-
stręcza niebawale trudności. Język
starofrancuski występuje w orygina-
le w różnych dialektach, bowiem
mistrz Pathelin udając szalenstwo
gada od rzeczy rozmaitym mową. Trze-
ba dużego kunsztu aby oddać tę
żonglerkę słowną w sposób dla wi-
dza zrozumiały, zachowując ogac-
two językowe pierwotnego tekstu.
Z kłopotem tym tłumacz uporał się
zwycięsko. Silna archaizacja wypa-
da na ogół zrozumiała. Mniej wyraź-
na staje się ona dla nieprzygotowa-
nego widza jedynie tam, gdzie szyb-
kość deklamacji osiąga swój szczyt.
Archaizacja ta została oparta o ma-
teriał leksykalny polskich tekstów z
XV w. m. in. legendy o św. Aleksy-
m i statutów wiślickich. Efekty języ-
kowe w kulminacyjnej scenie sza-
leństwa, Polewka osiągnął przez wy-

korzystanie języka czeskiego, rosyj-
skiego i litewskiego. Pozwoliło to na
wydobycie potężnego ładunku komi-
zmu nawet w ciężkich warunkach
przekładu. Repertuarowi naszemu
przybyła więc niepoślednia pozycja
klasyczna, szczególnie rzadka, — bo
z pięćsetletnią tradycją sceniczną.

POZIOM wystawienia średnio-
wiecznej, trudnej farsy był, bar-
dziej niż w przypadku innego utwo-
ru, zależny od zespołu wykonawców
i od wyrównanej gry. Zespół może
zdławić walory sztuki i zamienić spe-
ktakl w nudną piłę, może jednak rów-
nież wyzwolić cały ładunek krytyki
społecznej i śmiechu. Ważniejszą
od tekstu jest sprawa gestu, mimiki
i ruchu na scenie, w tej bowiem dzie-
dzinie pięć wieków zmieniło gruntow-
nie styl gry.

Zespół poznański pod reżyserią
Włodzisława Ziemińskiego, który
grał Pathelina, sprostał na ogół temu
zadaniu. Role poza drobiazgami zo-
stały wypracowane starannie i wza-
jemnie zestrzeżone.

Ziemiński pogłębił sylwetkę
adwokacina — oszusta o świadomy,
cyniczny stosunek do własnych sza-
chrajstw. Czołową postać farsy łat-
wo zepchnąć do miary jarmarcznej
nabieracza — powsinogi. Poznański
Pathelin zachował manierę zdekla-
sowanego jurysty i skłonność do pod-
kreślania ogólniejszych sentencji,
wplecionych w tekst, które mają
podbudować typowość postaci oraz
typowość oszustwa i stosunku do
życia Pathelinów. Nadało to farsie
miejscami rysy poważniejsze, kry-
tykowane w czasie premierowych
przerw. Osobiście uważam tę kon-
cepcję za trafną. Przesuwa akcent
złożenia z rozrywki w kierunku
obyczajowego dokumentu.

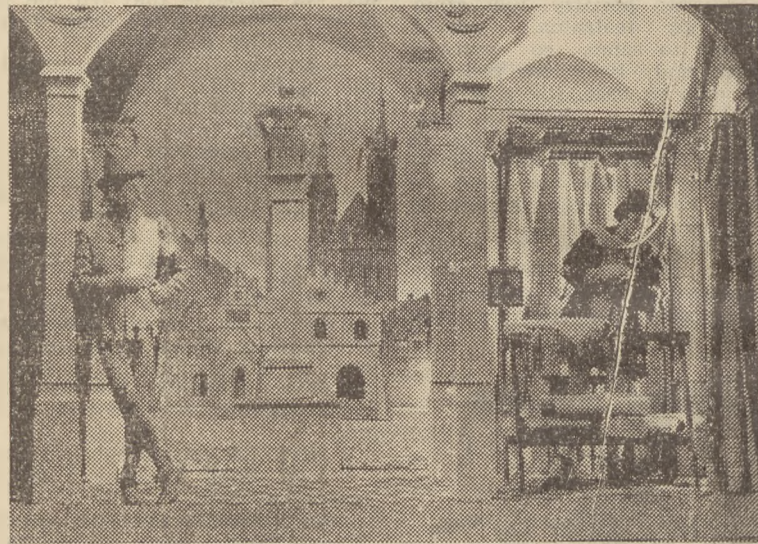
Edward Marciszewski w roli kup-
ca udanie powiślał przemożną żądzą
zysku z panicznym, zabobonnym lę-
kiem przed stratą pieniężną. Szkoda,
iż w kreacji tej słowo nieraz gnię-
ło na skutek zbyt rozbudowanej go-

stykulacji. Nie zawsze było dostatecz-
nie wyrażne i zrozumiałe. Mimika
Marciszewskiego osiągnęła zdecydo-
wany tryumf w scenie przerażenia
przed lożem szalejącego franta.
Aktor pocił się w oczach publicz-
ności — koncertowo.

Wilhelminę Pathelin grała Pelagia
Relewicz — Ziemińska. Rezolutna
mieszczka, godna współniczka swe-

arcydzieła komediowej gry aktor-
skiej. Bohdan Wróblewski był b.
dobry w roli pasterza owiec, osta-
tecznego zwycięzcy w tym drobnom-
mieszczańskim turnieju oszustwa.

Deklamacja raziła ucho niefarfym
spolszczeniem nazwiska oszukańcze-
go mistrza palestry. Mówiono o Pa-
telinie, choć w innych sztukach kla-
sycznych zachowujemy wymowę i



Państwowy Teatr Młodego Widza w Poznaniu — „Krotofila o mistrzu Pathelin“, Akt I, Włodzisław Ziemiński (Pathelin) i Edward Marciszewski (Kupiec).

go małżonka, kilkakrotnie w kulmi-
nacyjnych scenach II aktu wylała
się z tonu, który nadawało całosci
obrazu zachowanie łotrzyka, np. zbyt
krzykliwie prosiła kupca o ciszę przy
łożu chorego, opóźniła reakcję na
słowa partnerów itp.

Nestor sceny poznańskiej, Zygmunt
Noskowski, uczynił z niewielkiej roli
sędziego — pieczeniara prawdziwe

akcentację autentyczną, znaną u nas
znacznie szerzej, niż sięga znajomość
francuskiego. Dlatego Hernani W.
Hugo brzmi wciąż „Ernani“, a nie
„Chernani“. Rysa drobna lecz przy-
kra w udanej całosci spektaklu.

Kostiumy b. dobre i sugestywne u-
raz poprawne dekoracje zaprojektowa-
ł Adam Bilski, przenosząc Patheli-
na z jego gromadką z normandzkiego
czy pikardyjskiego miasteczka na
bruk krakowskiego cinquecento.
Symultaneistyczna, jednolita deko-
racja z rozplanowaniem różnych ter-
renów akcji w różnych miejscach tej
samej sceny uproszczeniami zbliżała
widza do scenografii dawnych wie-
ków. Przykrym dysonansem w har-
monijnym obrazie scenicznym była
sylwetka karta, z przeraźliwą nie-
prawdopodobną maską. Średnio-
wieczny kat najczęściej zapuszczał
na twarz opończę z otworami na
oczy. Ilustrację muzyczną opracował
Ryszard Gardo.

Mimo dużych walorów przedsta-
wienia, Teatr Młodego Widza, gdzie
się rozgościła Krotofila, w pierw-
szych dniach świecił pustkami, Sztu-
ki nie poprzedziły zapowiedzi; raso-
we, recenzje opóźniły się (n. b. jaka
szkoda, że wyszedł już z mody
chwałebny obycaj publikowania re-
cenzji nazajutrz czy na drugi dzień
po premierze). Szeroka publiczność
nie zna rarytasów klasyki starofran-
cuskiej, miała przeto pełne prawo
mniemać że to nowe przedstawienie
dla milusińskich. Ci z kolei odcho-
dzili od kasy z kwitkiem, gdyż farsa
dozwolona jest dla młodzieży od lat
14. Ostatnio Pathelina przeniesiono
do Komedii Muzycznej, gdzie sytu-
acja od razu się poprawiła.

Spektakl poprzedził wstęp przed-
opuszczoną kurtyną. Rozłożony na
głosy dialog aktorów i symboliczne-
go widza miał stanowić komentarz
do starej farsy. Pomysł w zasadzie
chwałebny, inicjatywa pożyteczna —
coż kiedy prolog ten był niestety dla
laika niezbyt zrozumiały, greszył
często deklaratywnością, znużył
wszystkich dłuższą. Zabieg ten pro-
si, aby go skwitować przekonują-
cym cytatem z wypowiedzi pisarki łó-
tewskiej, Anny Brodele na łamach
pisma „Sowietskije Iskusstwo“ Nr 23
z IV.52 w ramach toczonej się obec-
nie w ZSRR dyskusji o dramaturgii,
(Cytuje za nr 19 „Nowej Kultury“...
Nie należy zakładać, że widz jest o-
graniczony. Gdy się przyjmuje takie
założenie, kiedy się nie dowierza in-
teligencji widza, to koniec końców za-
sztuki nie zostaje prócz szere-
nudnej, ubożuchnej dydaktyki...

W danym przypadku chodzi jedy-
nie o wstęp, nie o sztukę. Mistrz Pa-
thelin i jego anonimowy autor wy-
konali zadanie „na piątą“. Szerze-
ubawili, dając przy tym dużo do
myślenia, ukazując żywy cynek
swej epoki, demaskując zło kpina
i szyderstwem — nie deklaracją.

Czesław Krzesiński

Leszek Prorok

Z FILHARMONII WARSZAWSKIEJ

O D czasu powstania „grupy 49“
upłynęło trzy lata (nazwa
pochodzi od roku, w którym
została ona założona). Pierwszy
koncert tej grupy (styczeń 1951)
zaznaczył słuchaczy z twórczością
trzech polskich kompozytorów naj-
młodszego pokolenia: Jana Kren-
za (ur. 1926), Tadeusza Bairda (ur.
1928) i Kazimierza Serockiego (ur.
1922). Chocć ogłoszony wówczas
„program“ obejmował cały szereg
hasel, to jednak ich ogólność nie
pozwalała na bliższe sprecyzowa-
nie dążeń artystycznych założycie-
li grupy. Poza tym od razu, już po
pierwszym koncercie, nie trudno
było zauważyć, że kompozytorów
tych łączy przede wszystkim po-
czucie wspólnego e i u, natomi-
ast o doborze środków doń pro-
wadzących decyduje w pierwszym
rzędzie indywidualność języka ar-
tystycznego każdego z nich.

Wydaje się, że ta właśnie cecha
„grupy“ przetrwała do obecnego,
drugiego z rzędu jej oficjalnego
wystąpienia na ostatnim koncercie
(30 maj i 1 czerwiec b. r.), mimo,
że prawie półtoraroczny okres
czasu dzielący oba koncerty przyniósł
szereg nowych dzieł każdego z
kompozytorów „trojki 49“ (okazuje
się, że system trójkowy popularny
staje nie tylko wśród mura-zy),
dzieł, świadczących o niewym
zblizeniu w wyborze środków artysty-
cznego wyrazu.

Darujemy sobie otwierając ostatni
koncert „symfonię koncertującą“
Antonia Milwidy (kompozytora
polskiego z drugiej połowy XVIII
w.) — trudno bowiem domyśleć się
co w niej przypisać Milwidowi a co
Krenzowi. — i zajmijmy się od razu
wykonanymi tego wieczoru dzieła-
mi kompozytorów „grupy 49“.

Rapsodia Jana Krenza (prawy-
konanie) przynosi słuchacza w
świat muzyki, która na pierwszy
rzut oka (powinno być: na pierw-
szy chwyt ucha!) wydaje się prze-
zryta i prosta. Takie jest jednak
tylko pierwsze wrażenie, które us-
tępuje w miarę wsłuchania się —
mimo bowiem pozornej prostoty
środków harmonicznym i „przej-
rzystości“ partytury, rapsodia rol-
si od wyszukanych pomysłów ko-
lorystycznych i harmonicznym. O

ile można sądzić po jednym wysłu-
chaniu, (zastrzeżenie to odnosi się
do wszystkich omawianych tu utwo-
rów) celem kompozytora zdaje się
być w głównej mierze wykazanie
wszystkich niemal możliwości w tej
dziedzinie. Można taki właśnie spo-
sób wypowiedzania się twórcy (t. j.
wybór takiego języka muzycznego)
uznać za właściwy lub nie, lecz
zgadzając się trzeba z tym, że jest on
bardzo o d m i e n n y od co-
dziennego. Co więcej: Krenz-kom-
pozytor ukazuje się słuchaczom w
zupełnie innym świetle, aniżeli
Krenz-dyrygent. Jako dyrygent (n.
b. bardzo dobry dyrygent) pełen
jest on dynamizmu i bezpośrednio-
ści — jako twórca „Rapsodii“ za-
ciera te cechy (wyjątek stanowią
partie dramatyczne). Czyżby je za-
tracił? Oto pytanie, na które od-
powiedź dać mogą dopiero następ-
ne dzieła.

Tadeusz Baird, autor „suity w
dawnym stylu na orkiestrę smycz-
kową z fletem“ p. t. „Colas Breu-
gnon“ przepoił swój utwor archa-
izując atmosferą dawnych staro-
francuskich tańców. Ich żywiołowa
wesołość, sasiadująca o krok z me-
lancholią zaduma — oto cechy,
które charakteryzują i utwór mu-
zyczny i nieposkromiona w swej
żywności postać Colasa, bohatera
genialnej powieści Romain Rolla-
rda. Najpiękniejsza jest czwarta
część suity, „smutna pieśń“, świad-
cząca o sile własnej inwencji kom-
pozytora, który potrafił w tej „pie-
śni“ zawrzeć tyle piękna.

Gdyby ktoś spośród słuchaczy
koncertu chciał znaleźć dowód
zgodności pomiędzy stylem a twór-
cą, to wówczas symfonia Kazimie-
rza Serockiego (prawykonanie)
stanowiłby mogła decydujący ar-
gument na rzecz tezy, że „styl to
człowiek“. Symfonia Serockiego to
rodzaj muzyki leżącej na antypodach
rapsodii Krenza: pełno w niej
sily i dynamiki (chwilałmi nawet aż
za pełno!), tak, że słuchacz czuje
się niekiedy oszołomiony siłą
brzmienia orkiestry; można by tu
powtórzyć zarzut, skierowany pod
adresem „bohaterskiej uwertury“
Panufnika: przez cały czas trwa-
nia symfonii wskaźnik napięcia
wskazuje stale wysoki poziom i ob-

niza się na ogół tylko nieznacznie,
a skutkiem tego — mimo, że wszyst-
ko odbywa się w „wysokich rejestrach“
emocjonalnych — słuchacz
nie doświadcza zróżnicowanych
przeżyć estetycznych. Najlepszym
fragmentem całej symfonii jest
wprowadzenie blachy na tle kwintetu
smyczkowego (drugi temat
czwartej części symfonii i jego po-
wtrózenie), będący — jak się zda-
je — szczytowym punktem całego
utworu. Razi natomiast w symfo-
nię nadużywanie brzmienia ksylo-
fonu: jego „szkłały“ (a nawet „pi-
szczelowy“) dźwięk brzmi niejed-
nokrotnie obco na tle zespołu po-
zostałych instrumentów (to samo
dotyczy i „Rapsodii“ Krenza).

Sala „Romy“ świeciła miejscami
łysina: szkoda, gdyż był to koncert
nie tylko „warszawski“, choć słu-
chało go wielu (nawet i spoza War-
szawy) kompozytorów, oraz przed-
stawicieli tzw. „świata muzyczne-
go“.

P. S. Do wydrukowanej w nr-ze
10-ym recenzji z „Harnasów“ Rzy-
mowskiemu wkładł się błąd. Prze-
czytać tam można niepokojącą o-
pinie, że „rytm jest k o n c e m
muzyki“. Powinno być oczywiście:
„rytm jest k o s c e m muzyki“.
Dopiero wówczas ma sens zesta-
wienie tego zdania z powiedzeniem
Mozarta, że „melodia jest duszą
muzyki“.

O koncertowym wykonaniu „Hal-
ki“ (6, 7 i 8 czerwca) w związ-
ku z przypadającą w czerwcu b. r.
osiemdziesiątą rocznicą śmierci Sta-
niława Moniuszki, pisać można al-
bo bardzo długo, albo bardzo kró-
tko. Wybrać pierwszą z tych możli-
wości, znaczący by powtarzać na
tym miejscu to wszystko, co przy
tej samej okazji powiedziano i na-
pisano już wielokrotnie. Pozostaje
wiecej sposobów drugi: ograniczyć się
do krótkiej, kronikarskiej notatki.

„Halka“ wykonana została przez
połączone orkiestry Filharmonii i
Opary pod dyrekcją Zdzisława Gó-
rzyńskiego, chór Opary (przygotowa-
ny przez St. Nawrota) i ama-
torski chór „ARTOS'u“ (przygotowa-
ny przez W. Skoraczewskiego).

Jako soliści wystąpili: Maria Folt-
tyn (Halka), Jadwiga Dzikówna
(Zofia), Lesław Finze (Jontek). Eo-
leśław Jankowski (Janusz), Ber-
nard Ładysz (Stolnik) i Władysław
Skoraczewski (Dziemba).

Koncert poprzedziła prelekcja b.
prezesa Związku Kompozytorów
Polskich, Witolda Rudzińskiego, re-
daktora „Muzyki“, który w swym
przemówieniu podkreślił szczegól-
nie silnie społeczną i narodową rolę
twórczości Moniuszki.

Wykonanie „Halki“ — choć chwi-
lami nie bez zarzutu — nacecho-
wane było pietyzmem dla muzyki
wielkiego kompozytora, w szczegól-
ności zaś jego „Halki“, która po
raz pierwszy — również estradowo
— wykonano w Wilnie w grudniu
roku 1847.

Afisz zpowiadał wówczas „wie-
czor muzyczny“, na którym artyści
łącznie z amatorami wykonają c a
l ą operę „Halka“. Była to jednak
tylko pierwotna, dwuaktowa wer-
sja tej opery, a dopiero w siedem
lat później wystawiono „Halke“ na
s c e n i e wileńskiej. Jednakże
owo pierwsze, wileńskie wykonanie
„Halki“ dzieli od „warszawskiej
premiery“ tej opery pełne lat dzie-
sięć, w ciągu których jej partytura
leżała w... szufladzie dyrektora
warszawskiej Opary.

Tak więc zarówno ówczesne „ko-
ła muzyczne“ Warszawy (spłoszone
społeczna tematyka opery Moniu-
szki), jak i zaściankowość warun-
ków wileńskich zdolały opóźnić na-
dejsie nowej ery w historii pol-
skiej opery, ery, która rozpoczęła
się w dzień noworoczny 1858 r.

Estradowe wykonanie „Halki“ by-
ło ostatnim tegorocznym występem
Filharmonii Warszawskiej w sali
„Romy“, która w okresie letnim
zostanie gruntownie przebudowana
i poszerzona (następne koncerty
odbywać się będą w Teatrze Naro-
dowym). Pozwoli to niewątpliwie
na przewyższenie całego szeregu
— niepokonalnych dotychczas —
trudności technicznych, które w
bardzo wielkim stopniu utrudniały
wykonywanie w sali „Romy“ dzieł
wymagających zwiększonej obsady
orkiestry, a także udziału chórów
i solistów.

Czesław Krzesiński

Leszek Prorok